Nr. 46. Warszawa, dnia 15 (3) Listopada 1890 r. Rok X.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**.

**Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.**

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.



Oprócz **Psychologii dziecka** i **Encyklopedyi dla dzieci**, które to książki wkrótce wyjdą, na początku roku przyszłego do wydawnictw naszych, bądź w dodatku, bądź osobno, wejdą: K. Letourneau **Rozwój moralności** i J. Brandesa **Młode Niemcy** (VI tom „Głównych prądów literatury" XIX w.).

## POLITYKA.

### CYWILIZOWANIE AFRYKI.

O wszelkich wyprawach, misyach cywilizacyjnych i pionierach kultury europejskiej śród ludów barbarzyńskich i dzikich nie mieliśmy żadnych złudzeń, z po za szlachetnych bowiem pozorów zawsze wyglądał interes, grabież i samolubstwo. To też jakkolwiek nie odmawialiśmy podróżom Stanleya po Afryce wartości naukowej, wykazywaliśmy, że głównym ich celem było zdobycie rynków handlowych i bogactw niewyzyskanych. Wiele faktów popierało nasz pogląd, który teraz w kłótni cywilizatorów znalazł zupełne potwierdzenie. Kłótnia ta jest bardzo pouczającą.

Przedewszystkiem krótki do niej komentarz. Jak czytelnicy przypominają sobie, Stanley wyruszył powtórnie w głąb Afryki dla wyswobodzenia Emina paszy, który po upadku Gordona utknął w jednej z prowincyj, osaczony zewsząd nieprzyjaciołmi. Podejrzaną wydawała się ofiarność milionerów angielsko-szkockich, którzy na ten ratunek dali pieniędzy, ale ostatecznie wzniosły tytuł przy wyprawie pozostał. Po długim i niszczącym pochodzie Stanley odnalazł Emina, ale zadowolonego i opierającego się wszelkim namowom „zbawcy." Nareszcie pasza uległ i wrócił do Zanzibaru. Od tej chwili wszakże między dwoma podróżnikami wynikły niesnaski, a z nich wydobyła się wieść, że Stanley nie myślał „ocalać" Emina, lecz tylko posiąść jego zapasy kości słoniowej, że go uprowadził gwałtem, że cała jego wyprawa poświęcona była celom spekulacyi itd. Oskarżony pośrednio odpowiedział na zarzuty opisem swojej podróży w obszernem dziele. Wieść przycichła, Emin wrócił do dawnej siedziby, a Stanley zaczął po trudach odpoczywać w objęciach świeżo poślubionej żony. Nagle sypnęły się nowe przeciw niemu oskarżenia. Zwłaszcza brat zabitego przez murzynów majora Barttelota (któremu Stanley powierzył główny nadzór nad oddziałem pozostawionym w czasie pochodu) zwalił na niego odpowiedzialność za ten wypadek i dołączył szereg ciężkich obwinień. Przeczytawszy te zarzuty, wybawca Emina buchnął gniewem i przesłał *Timesowi* telegrafem sześciospaltową odpowiedź, w której tłomaczy przyczynę śmierci Barttelota, a zarazem kreśli naturalistyczny obraz cywilizowania Afryki. Obraz to przerażający — skopiujemy go w szkicu. Jednego dziesięcioletniego chłopca — opowiada Stanley — zabił Barttelot kopnięciem, drugiego zaś — 300 uderzeniami chłosty. Pewien sudańczyk, który z głodu ukradł kawałek mięsa koziego, dostał 150 razów. Skazany został na 300, ale ponieważ nie mógł wytrzymać więcej, niż 150, więc przerwano karę z obietnicą dopełnienia jej później. Uciekł, ale schwytano go i rozstrzelano. Dwaj żołnierze, z których każdy dostał po 300 uderzeń, mieli na plecach rany 4 do 6 cali długie i cal głębokie; obaj umarli. Śród zanzibarczyków nie było prawie ani jednego, któryby uniknął chłosty, a ponieważ brakło środków lekarskich, więc skatowani umierali. W protokółach dziennych, podpisanych przez wszystkich oficerów, jest ciągle mowa o takich znęcaniach się. Od Tipu-Tipa kupił Barttelot 4 niewolników (za 48 f. szt.), których trzymał w kajdanach. Pewnego dnia rano usłyszał on śpiewy i bębnienie, a gdy wysłani żołnierze nie uciszyli hałasu, wyszedł sam z kijem i rewolwerem. Jedna kobieta śpiewała, a kilku mężczyzn bębniło, gdyż jest zwyczajem u manyemów w ten sposób witać wschód słońca. Barttelot kazał kobiecie zamilknąć, a gdy nie usłuchała, powalił ją na ziemię i bić zaczął. Wtedy jej mąż, zobaczywszy to z poblizkiej chaty, strzelił do majora i zabił go.

Podobnych potworności dopuszczał się drugi cywilizator, Jameson. W rozmowie z Tipu-Tipem wyraził wątpliwość co do istnienia ludożerstwa. Zapłać za niewolnika — odrzekł mu handlarz — a zobaczysz. Jameson dał 12 bawełnianych chustek za 10—12 letnią dziewczynę i oddał ją kannibalom, mówiąc: „Zobaczymy, co z nią zrobią." Związali ją, jeden z oprawców wbił jej nóż w serce, a podczas gdy ofiara targała się w krwi, Jameson rysował spokojnie pojedyńcze sceny tego morderstwa. O wypadku tym doniesiono władzom państwa Kongo, które rozpoczęły śledztwo. Te zdjęte z natury szkice artysta pokazywał ciekawym w Europie.

Swą dziką opowieść Stanley kończy zapewnieniem, że fakty te gotów poprzeć dowodami i świadkami.

Oto jak europejczycy cywilizują Afrykę. W skórach badaczów i dobroczyńców niosą oni do niej okrucieństwo i dzikie instynkty, które tam oswobodzone z kagańców rzucają się i rozszarpują niewinne ofiary. Od czasów Kolumba i Pizarra zdobywcy nowych światów pomnożyli tylko pozory, włożyli grubsze maski, ale w srogości nie zmienili się wcale. Widzimy te same sceny, co przed 400 laty, tę samą zaciekłość i znęcanie się, te same Kainowe znamiona krwi na czołach wieńcami sławy ozdobionych. Wyjaśnienia Stanleya są niezmiernie cenne dla charakterystyki naszych czasów, naszej kultury i tej naszej Europy, która z wyżyn swojego uobyczajenia tak dumnie spogląda na barbarzyńców.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Stany Zjednoczone Ameryki północnej sprawiły Europie w ciągu paru tygodni dwie wielkie niespodzianki: wypowiedziały jej wojnę celną bilem Mac Kinleya i posłały gałązkę oliwną rezultatem wyborów do kongresu. W wyborach tych bowiem odnieśli niebywały tryumf demokraci, przeciwnicy protekcyonizmu, cała zaś drużyna Mac Kinleya wraz ze swym wodzem uległa sromotnej porażce. Obecny kongres gospodarować może jeszcze przez rok, bill taryfowy zachowa moc obowiązującą przez dwa lata, ale potem runie mur ochronny pod ciosami zwycięzców i dla Europy otworzy się zapewne znowu rynek amerykański. To też na wiadomość o niespodziewanym zwrocie odzyskała ona otuchę i powstrzymała robotę około swoich szańców. Przemysłowcy, którzy już zamknęli fabryki, rozmyślają, czyby ich nie otworzyć i nie przeczekać do nowego okresu, państwa zaś, które zaczęły łączyć się związkami celnymi w celach obrony, zwolniły przebieg swych układów. Zwłaszcza Niemcy mniej napierają o sojusz ekonomiczny na Austryę, która też po zwycięztwie demokratów Unii amerykańskiej głęboko odetchnęła. Ale sama idea zrzeszenia się celnego Europy przeciw Ameryce nie zamrze, znowu bowiem kiedyś może ona będzie potrzebowała przyświecać walce starego świata z nowym.

Przysłowiowy kłamca i krzywoprzysięzca, sądownie za te przewinienia napiętnowany, słynny podżegacz nienawiści do żydów, kaznodzieja nadworny Stöcker, musiał ustąpić ze swego urzędu. Nie za swe przekonania, które wolno mu było głosić, jeśli je szczerze wyznawał, ale za swój charakter, poplamiony wykroczeniami przeciw prawu i moralności, był on znienawidzony przez wszystkie żywioły społeczne i stronnictwa, z wyjątkiem skamieniałego w swej ortodoksyi i przesądach rasowych konserwatyzmu. Raziła też naród opieka i protekcya monarsza dla takiej osobistości, tem bardziej, że Stöcker znaczną część swego wpływu na rozpalanie namiętności zawdzięczał stanowisku kaznodziei dworskiego. Cesarz Wilhelm, który widocznie postanowił oczyścić Augiaszową stajnię, wymiótł wreszcie i tego awanturnika. Okazał on mu wyraźny dowód nieufności i lekceważenia, że Stöckerowi nie pozostało już nic innego, jak tylko „wyciągnąć konsekwencyę.“ I usunął się—z zamiarem „gorliwszego poświęcenia sił swoich agitacyi chrześciańsko-socyalnej.“ Nie wątpimy, że ten kruk rozpostrze teraz skrzydła szerzej i swobodniej, ale wątpimy, czy pozbawiony lotek urzędowych, zdoła wznieść się do tej wysokości, na której dotąd bujał.

Niecierpliwie oczekiwana mowa, którą król pruski otworzył sejm, zawiodła przypuszczenia: zaznaczyła bowiem tylko potrzebę reformy podatków i szkolnictwa, oraz wiarę w trwałość pokoju.

Stwierdził tę wiarę przedtem lord Salisbury w zakresie roku. Co później nastąpi— niech się o to bogowie troszczą.

Szlachetny lord ulitował się nad kłopotami rządu portugalskiego i zawarł z nim na sześć miesięcy układ tymczasowy, pozostawiający stosunki posiadłości afrykańskich w dotychczasowem położeniu. Gdy upłynie czas tego zawieszenia broni, ma być zawarty nowy kontrakt, w którym naturalnie Anglia zatrzyma wszystko, co współzawodniczce wydarła. Chodzi bowiem tylko o to, ażeby w Portugalii wzburzona ludność uspokoiła się i oswoiła ze stratą, a rząd utrwalił swoją podstawę.

Jego Cesarska Wysokość ruski następca tronu, odwiedziwszy dwór wiedeński, gdzie doznał uroczystego i serdecznego przyjęcia, wyjechał do Grecyi, a stamtąd uda się na Wschód w dalszą podróż. Gazety ruskie sądzą, że podróż do Austryi będzie miała dodatni wpływ na stosunek obu państw sąsiednich.

Coraz pewniejszą staje się wiadomość, że rząd ruski zaciągnie u bankierów francusko-niemieckich 100-milionową pożyczkę na konwersyę obligacyj kolejowych.

## SPRAWY EKONOMICZNE.

### WSZECHAMERYKA I WSZECHEUROPA.

Bill Mac Kinleya jest bezwarunkowo najważniejszem wydarzeniem ostatnich czasów, chociaż z pierwszego rzutu oka wydawałoby się, że jedynie doprowadza on do ostatecznej krańcowości odgrodzenie celne Stanów Zjednoczonych od napływu towarów europejskich — nic nadto. Lecz jeśli postawimy go w należytem oświetleniu, zobaczymy, że znaczenie jego jest daleko większe. Przedewszystkiem warto wspomnieć o wniosku Turnera w kongresie, aby ustanowiono premie wywozowe dla wytworów kukurydzy, pszenicy i mąki, naturalnie o ile te produkty idą do Europy, od której zamurowano się właśnie z taką siłą za pośrednictwem billu Mac Kinleya. Atoli należałoby zwrócić jeszcze większą uwagę na niedawny zjazd wszechamerykański w Waszyngtonie, w celu „utrwalenia i udoskonalenia wzajemnych stosunków pomiędzy krajami Ameryki.“ Ciągnął się on od jesieni 1889 aż do tegorocznego maja. Wprawdzie przyjęte uchwały nie posiadają żadnej mocy obowiązującej i tylko są głosem doradczym, który podany będzie rządom poszczególnych krajów do uznania, lecz jest to rzeczą mniejszej wagi, gdyż głównie chodzi nam nie o to, co jest, lecz co może kiedyś nastać. Z tego punktu widzenia, mniej uwzględnimy wnioski, które zjazd przyjął jako nadające się już dzisiaj do urzeczywistnienia, więcej zaś projekty, które tutaj wnoszono a które, chociaż przepadły, posiadały przecież dostatecznie znaczną liczbę zwolenników. Przyjrzyjmy się im.

Ustanawia się dla wszystkich trzech Ameryk (północnej, środkowej i południowej) wspólny trybunał rozjemczy ze stałym pobytem w Waszyngtonie. Rozpatruje on wszelkie możliwe spory i nieporozumienia wzajemne, a zatem kwestye dyplomatyczne i celne, przewozowe i handlowe, wreszcie zajścia pograniczne; wyroki jego posiadają siłę obowiązującą, członkowie zaś są wyłącznie amerykanami. Wspólny związek celny przeciw produktom fabrycznym Europy ogarniałby wszystkie kraje Ameryki; w początkowej formie mógłby on powstać za pomocą szczegółowych umów, które to umowy jednako dążyłyby do zamknięcia rynków amerykańskich kapitalistom europejskim, otwierałyby zaś je wytworom, pochodzącym z tego lub innego państwa w Nowym Świecie. Należałoby podnieść poziom środków przewozowych. Przedewszystkiem wartoby przeprowadzić na rzecz skarbu dwie linie parostatkowe, jedną — idącą od portów nadatlantyckich Związku północno-amerykańskiego do Buenos Ayresu i Rio-Janeiro, drugą — od portów kalifornijskich do odpowiednich punktów wybrzeża Spokojnego w Ameryce południowej. W dalszym ciągu wypadałoby przeprowadzić kolej żelazną, która przecięłaby wszystkie Ameryki w kierunku od północy do południa. Wniesiono ujednostajnienie na przestrzeni wszechamerykańskiej miar wagi, objętości i długości, oraz potrącono o wprowadzenie jednolitej monety. Pojedyncze sztuki na jednej stronie nosiłyby stempel

---

# ROMANS W DUNACH

przez

**Holgera Drachmanna.**

(Dokończenie).

Młodzi jedzą dużo: trzeba więc było ciężko pracować, pracowano też ciężko. Kren Normand nauczył swych synów wszystkiego, czego mógł ich nauczyć, a oni rośli i rozwijali się, każdy z jakąś indywidualną odrębnością charakteru, lecz wszyscy trzej jako odważni i dzielni marynarze.

Najstarszy, Jörgen, najwięcej może był do ojca podobny; małomówny, energiczny nie uchylał się przed niczem. Był wysoki i smukły; dwaj młodsi, Karol i Jan, byli mniejsi wzrostem, ale silniej zbudowani.

Jörgen wstąpił do marynarki i po niejakim czasie wrócił znowu do domu: z „królewską“ barwą ładnie mu było do twarzy. Podczas karnawału tańczono u jednego z gospodarzy. Kren Normand nie lubiał zabaw, najmniej ze wszystkich — taniec. Pomimo to Jörgen poszedł na wieczór.

W niedzielę wybrał się na spacer z dziewczyną od gospodarza. Na imię miała Sara. Była sierotą, dzieckiem prawie jeszcze, miała ciemne jedwabiste włosy, duże, jakby zdziwione oczy i poważnie niemi w świat patrzała. Oczy te chętnie spoczywały na twarzy młodego, rączego marynarza, pomimo że ten nie posiadał daru przypodobania się w tym stopniu, jak młodszy jego brat. Karol z początku towarzyszył młodej parze na drodze przez duny.

Wycieczki takie powtarzały się parę niedziel z rzędu.

Pewnego dnia ojciec zatrzymał Jörgena na dole, przy czółnie i powiedział mu:

— Chodzisz na spacery ze sługą z przeciwka, co?

— Tak.

— Jak jej na imię?

— Sara.

— Ładna twarzyczka! Nie masz przecie żadnych złych zamiarów?

— Cóż znowu!

— A więc?

— Jesteśmy zaręczeni.

— To głupiec! — mruknął ojciec. Wracaj do domu, ale nie na górę do gospodarza. Sam jadę!

Kren wtedy tylko samotnie na morze się udawał, kiedy był gniewny. Za pomocą kilku silnych, krótkich uderzeń wiosłem, odbił od brzegu. Morze chłodzi — stopniowo uspokajał się.

Po tej scenie Jörgen i ojciec nic już z sobą w owej sprawie nie mówili. Z wiosną najstarszy syn udał się na morze z zamiarem poszukania sobie zajęcia na jakimś okręcie.

Raz wieczorem, jesienią, Kren szedł z połowu i wracał na górę przez duny. Stanął pod jednem z piaszczystych wzgórzy, posłuchał, zaczołgał się aż pod samą górę, odchylił pęczek rosnącego tu na piaskach owsa i spojrzał na dół.

Na dole siedziała Sara, Karol stał koło niej, podając jej list. Ona list wzięła, przebiegła go okiem i na Karola wzrok podniosła.

— Może mam odejść? — zapytał.

Twierdząco kiwnęła głową. Na pożegnanie podał jej rękę i poszedł.

Ojciec skurczył się w owsie. Kiedy syn był już daleko, spuścił się na dół i stanął przed dziewczyną.

Spojrzała nań wystraszona i chciała list ukryć; on jednakże chwycił ją za rękę, silnie ściskając.

— Pewnie od Jörgena. Domyślam się! Ale wybij sobie to z głowy!

— Nigdy!

I zaczęła płakać.

— Dużo czasu upłynie, zanim on będzie w stanie własną wyżywić się pracą i wogóle wolno mu będzie pomyśleć o rodzinnem

związku wszechamerykańskiego, na drugiej — kraju, w którym byłyby bite.

Tak się przedstawia całokształt wniosków. O ile one zostaną wcielone w życie, zależy to od woli, a raczej interesów każdego kraju. Przyjęcie niektórych — np. trybunału rozjemczego — zdaje się jest pewne. Jeszcze np. projekt kolei przywdziewa już dzisiaj kształty konkretne. Uczestnicy sami zjazdu zebrali sumę pół miliona dolarów na prace przygotowawcze dokoła wytknięcia przyszłej drogi żelaznej, a stowarzyszenie akcyjne ma zabrać się do rzeczy. Jednocześnie ma być założony w Waszyngtonie bank wszechamerykański; członkowie zjazdu winni mu wyjednać w swoich krajach odpowiednią opiekę rządową. Stałe biuro, zbierające dane co do handlu, przewozu i opieki celnej w zakresie Ameryki, prawdopodobnie ukaże się też niebawem i w tem samem mieście. W ten sposób Sojusz wszechamerykański przyjmuje formy dotykalniejsze. Co więcej, dalszemu jego rozwojowi nie stoją na zawadzie jakieś większe przeszkody, żaden bowiem kraj nic nie traci na odgrodzeniu się od Europy, tymczasem gdy niektóre wprost zyskują na pozbyciu się rywalów ze Starego świata. Zwłaszcza Stany Zjednoczone mają silny interes w doprowadzeniu celnej Wszechameryki do skutku. Okręty europejskie, szczególnie zaś angielskie, przybywają do Ameryki południowej i środkowej naładowane wyrobami zakładów i fabryk europejskich i wracają pełne surowców, których część zostawiają w portach Stanów Zjednoczonych, na to miejsce zabierając niektóre płody rolne Związku. Sama południowa Ameryka przywozi do siebie towaru na 450 mil. dolarów, w tej liczbie ledwie 10% (bo 50 mil.) przypada Stanom Zjednoczonym, kapitalizm europejski zabiera resztę. Ta okoliczność właśnie nie daje spać spokojnie przemysłowcom północno-amerykańskim, którzy chcieliby zgarnąć te zyski. Patryotyzm wszechamerykański z hasłem „Ameryka dla amerykanów,“ głównie wychodzący z New Yorków i Waszyngtonu, jest mamidłem ideologicznem, spowodowanem przez interesy materyalne. Stany Zjednoczone zajęłyby wtedy miejsce usuniętej Europy i zapewniłyby sobie na długie czasy obszerny rynek, inne zaś kraje Ameryki nic nie straciłyby, bo zwycięzki rywal musiałby i im dać jakieś korzyści.

Polityka Związku północno-amerykańskiego jest dość przezroczysta. Bill Mac Kinleya i wniosek Turnera wzięte w parze uprzytomniają ją ostatecznie. Odebrać Staremu Światu rynki amerykańskie i zalać go swoimi surowcami, których cenę na rynku europejskim możnaby dostatecznie zniżyć dając wzamian wytwórcom krajowym premie wywozowe, do tego sprowadza się cała taktyka. Obie dążności są bardzo zgubne dla Europy, zwłaszcza dla jej kapitalistów fabrycznych i ziemskich. Pierwsi utracają, po dojściu wszechamerykańskiego sojuszu celnego, rynek, z którego pobierali 2¼ miliarda franków, drudzy zagrożeni zostają na własnych śmieciach. Zrozumiano to oddawna w Europie i poczęto stosować odpowiednie środki. Brentano już w 1884, lecz przedewszystkiem Kaufman w 1886 przeciwstawili zamiarom amerykańskim związek celny środkowo-europejski. Kaufman wykazuje z całą mocą, że jest to jedyna broń przeciwko wylewowi surowców amerykańskich, a utrudnionemu dostępowi produktów europejskich na rynki Stanów Zjednoczonych. Zawiązkiem sojuszu winna być umowa pomiędzy Austryą a Niemcami, jako krajami rolniczym a fabrycznym. Węgry np. dawałyby zboże, a Niemcy węgiel itd. Przymierze to, polegające na zniesieniu wszelkich możliwych ścieśnień wewnątrz a zagrodzeniu wszelkiego dowozu z zewnątrz, z czasem ogarnąć mogłoby Belgię, Holandyę z jej koloniami zwrotnikowemi, Szwajcaryę, Francyę i Włochy, jednocząc w ten sposób najrozmaitsze klimaty z najróżnorodniejszemi produkcyami. Powstałby szczególny organizm wymienny, odgrodzony cłami od reszty świata, a wystarczający samemusobie. Idea Kaufmana, która pokutuje w projektach niemiecko - austryackiego związku celnego, zmartwychwstała na wieść o zjeździe wszechamerykańskim. *Constitutionnel* pisał z tego powodu. „Przykład, który daje Ameryka, powinienby służyć za wzór postępowania Europie, gdyby rozumiała ona swój interes. Celny związek wszecheuropejski sprowadziłby korzyści jak największe. Europa zdoła uniknąć przesilenia jedynie zmieniając swój system polityczny i ekonomiczny.“ Wiedeński ekonomista Peez odzywa się jeszcze energiczniej. „Wszechameryka, prędzej czy później, wywoła przymierze wzajemne pomiędzy państwami europejskiemi... Na okrzyk: Wszechameryka! musimy odpowiedzieć upadkiem lub podobnem hasłem: Wszecheuropa!“ Ostatniemi czasy ukazała się rozprawka de Leussea, stojąca na tym samym gruncie i podająca praktyczne środki rozwiązania kwestyi. Autor wskazuje niepomierny rozwój „kolonij“: Stanów Zjednoczonych, Indyj przedgangesowych, Kaplandu, Australii. Wełna australska, konserwy mięsne argentyńskie, cytryny i pomarańcze kalifornijskie itd. powoli zagarniają rynek europejski. Za lat kilka amerykańska oliwa wyruguje nicejską i prowensalską z rynków północnej Europy, jak to już dzisiaj ma miejsce z pomarańczami w Anglii, tembardziej, że przewóz z Chicago do Havru lub Hamburga kosztuje mniej, niż z Krakowa do Strasburga. Jedyny środek wyjścia dla zagrożonej Europy to wzajemna solidarność celna. Gdyby Francya z Niemcami zawarły umowę celną, to z czasem musiałaby się ona rozszerzyć i objąć Belgię, Holandyę, Szwajcaryę i Austryę, a nawet Włochy i Hiszpanię; tj. mniej więcej 150 — 200 milionów głów. Związek ten ze stolicą w Frankfurcie regulowałby wzajemną wymianę towarów pomiędzy państwami związkowemi, ujednostajniłby taryfy, miary i wagi, przeprowadziłby międzynarodowe prawodawstwo fabryczne i broniłby Europę przeciw Nowemu Światu... Teraz, kiedy bill Mac Kinleya jest faktem dokonanym, podobnych głosów można zliczyć więcej. Stawiają one przeciw Ameryce i w ogóle koloniom „Wszech-Europę,“ lubo w gruncie rzeczy mocno obciętą. Łatwo zauważyć, że we wszystkich tych planach brak Anglii i Rosyi. Jest to rzecz zrozumiała. Angielski kapitalizm jest dzisiaj wciąż najgłówniejszym wrogiem dla przemysłu lądowego i dopuszczenie go do sojuszu byłoby straceniem wszelkich korzyści związku. Z drugiej strony, niebezpieczeństwo grożące ze strony surowców indyjskich, kaplandzkich, australskich jest zbyt silne, aby miano przyjmować do związku W. Brytanię z jej koloniami. Zostaje ona przeto odepchniętą przez ląd europejski; z drugiej strony Wszechameryka w znacznej mierze ma ją głównie na celu i przeciw niej organizuje się. Szczególne to położenie oddawna przeczuto w Anglii i pod naciskiem tym wyłoniono projekt t. zw. „imperyalnej federacyi“ (*Imperial Federation*). Polega on na równouprawnieniu kolonij wielko-brytańskich z Anglią, na stworzeniu zamkniętego organizmu wymiennego, takiego, jakim winna być Wszechameryka i Wszecheuropa. Wreszcie Rosya, pożądany kąsek dla kapitalizmów europejskich, sama dobrowolnie odgradza się od Europy i jednocześnie ziemianie europejscy chcieliby usunąć jej zboże z swych rynków. W bogactwie płodów i rozmaitości swojej może zresztą ona znaleźć wszelkie warunki samodzielnego rozwoju ekonomicznego.

W ten sposób, mamy w zarysie kilka odrębnych i wydzielonych organizmów wy-

---

ognisku. A tymczasem ty się zamartwisz, zaniedbasz robotę... Nic przecież między wami nie było?..

— Nie, nie! — zapewniła, ocierając sobie oczy.

— Więc idź do domu, do roboty. Ale daj mi list!

Zmieszana list mu dała, wstała i uciekła.

Popatrzył za nią; zajrzał w list, znowu za nią popatrzył, pismo przeczytał i schował je pod tabakę. Potem poszedł do domu, zawołał Karola i surowo mierząc go okiem, rzekł:

— Jeżeli otrzymasz list od Jörgena, mnie go oddasz, a nie tej dziewczynie z przeciwka! Rozumiesz?

Około Bożego Narodzenia umarła matka braci Normand. Ostatnimi czasy ciągle chorowała i leżała w łóżku. Spodziewiali się jej śmierci; w czasie słabości matki i podczas pogrzebu najmłodszy Jan najwięcej okazał uczucia.

I tak w domu został się Kren Normand z dwoma synami.

Aż tu na samym początku wiosennego porównania dnia z nocą nadeszła wiadomość, która wkrótce przez zarząd opatrunkowy i kapitana okrętu potwierdzoną została. Jörgen zginął podczas silnego huraganu na morzu Północnem. Zabiło go może silne uderzenie rei, może co innego. Tajemnicy nie wyjaśniono; faktem było, że Jörgen nie żył.

Cios ten spotkał Krena Normanda w sile wieku. Cios był ciężki: Kren zachwiał się, łzy spłynęły mu po szorstkiej brodzie; przesiedział całe dwa dni koło czerwonego stołu, wciskał kostki prawej ręki w lewą dłoń i mruczał: „Łotry, łotry! Oddajcie mi mego chłopca! Co to za kapitan — co za sternik! Chłopca mego, chłopca mi oddajcie!“

Karol, który jakoś najlepiej piórem władał, pod dyktandem ojca musiał napisać długi list, który odesłano. Został jednak na zawsze bez odpowiedzi.

Lato przyszło i przeszło. Kren prawie zawsze samotnie udawał się na morze. Dwaj bracia z oszczędności swych kupili sobie prom norweski, za pomocą którego wspólnie odbywali połów.

Pewnego dnia Kren spotkał Sarę na wybrzeżu.

Chciała uciekać — została. Tajemnicza jakaś siła przykuwała ją do miejsca, zakryła twarz rogiem fartuszka i szlochała.

I on stanął. Nagle zbliżył się do niej. Głos jego drżał.

— To twoja wina! Tyś mi wzięła chłopca!

— Nie mówcie tego! — prosiła.

On groźnie podniósł rękę, jak gdyby chciał ją uderzyć. Ochrypłym głosem wybełkotał wreszcie:

— Twoja wina — ladacznico!

— Bijcie, bijcie! — szlochała. Nie zasłużyłam, ale może tak i lepiej!

Spojrzał na nią błędnym wzrokiem, pomruczał, wykręcił się i poszedł.

Na Boże Narodzenie Karol oświadczył ojcu, że zaręczył się z Sarą.

Stary nie nie odpowiedział. Syn, pełen obawy, czekał. Wreszcie zapytał:

— Czy ojciec nie ma mi nic do powiedzenia?

— Przecież nie pytałeś mnie się wprzódy...

— Nie śmiałem — brzmiała cicha odpowiedź.

Stary znowu pomilczał przez chwilę, wreszcie mruknął:

— Tak prędko zapomniała Jörgena?

— Mówi, że patrząc na mnie, widzi Jörgena. Zresztą *ja żyję!*

Stary milczał, skrobiąc nożem kawał drzewa: zrobił głębokie nacięcie.

— Możesz czynić, co ci się podoba!

— Czy wolno jej przyjść do nas?

— Nie!

Wiosna przyniosła znowu kilka nieszczęść na morzu, nieopodal wybrzeża. Kren Normand i jego synowie mieli dużo roboty. Karol mordował się za trzech; chciał pokazać, co potrafi. Ratowali we trzech, co się dało uratować. Ciężka praca i dobry sto-

miennych: Wszechamerykę, W. Brytanię z koloniami, Związek europejski z koloniami holenderskiemi, Rosyę. Każdy z nich jest dostatecznie ludny i dzięki rozmaitości klimatów może wystarczyć sam mniej więcej na swoje potrzeby. Lecz czy te organizmy wcielą się w życie? Nie chcemy brać na się niewdzięcznej roli proroka. Zauważymy tylko, że interesy kapitalistów z jednej, ziemian z drugiej strony nie są tak solidarne, aby oczekiwać można było zwartego działania. Kapitaliści oddzielnych krajów zażerają się. Jakim sposobem można spodziewać się od nich łączności? Nawet w Stanach Zjednoczonych ziemianie, obawiając się odwetu Europy względem surowców swoich, występują wrogo przeciw billowi Mac Kinleya. Przypuśćmy jednak, że wzajemne te niesnaski, obracające się około zabrania jak największej części z łupu rabowanego na najmicie, uśmierzą się a raczej pojmą swój interes na tyle, że owe różne związki i federacye zostaną wcielone w życie. Czy fakt ten należy uważać za dodatni w rozwoju tegoczesnej cywilizacyi? Nie wahamy się odpowiedzieć twierdząco. Powikłania, wynikające z istnienia rynku wszechświatowego, są dzisiaj jedną z ważniejszych przeszkód na drodze kolektywnego uspołecznienia i zrzeszenia prywatnej produkcyi i odpowiednio celowego zorganizowania pracy ludzkiej. Pojedynczy kraj nie może stać się areną takiej ewolucyi, wszechświatowy zaś organizm jest zbyt ciężki i złożony. Tymczasem powstanie wspomnianych organizmów uprościłoby sprawę, zacieśniając ją do węższego obszaru. Każdy taki ustrój mógłby odbywać wtedy ewolucyę niezależną, i wszechświatowa łączność ukazałaby się znowu na podkładzie uporządkowania produkcyi w tych pomniejszych organizmach.

*K. R. Żywicki.*

---

# ŻYCIE SPOŁECZNE.

## SZKOLNICTWO LUDOWE W GALICYI.

*Lwów, 2 listopada.*

Sprawozdanie Rady szkolnej krajowej o stanie wychowania publicznego z 1890 r., rozdane posłom sejmowym, otwiera ranę, jątrzącą się na organizmie samorządu galicyjskiego. Szkolnictwo ludowe, któreby powinno służyć jako jeden z najważniejszych środków odrodzenia narodu, przynosi mu więcej szkody, niż pożytku. Wina spoczywa głównie w samej nauce. Oto w ramy planu naukowego, skopiowanego z Niemiec, wtłoczono rzeczy, których ani dziecko, ani nawet jego bakałarz nie są w stanie zrozumieć. I chłopskie, głodne lub trzęsące się od zimna, ma korzystać z tej sztucznej papki, przyprawionej cudzą ręką! Za ciężka to zbroja na wątłe ciało! Ugrzązł ciężarem przeładowany rydwan wychowania w głębokich piaskach i ruszyć go naprzód nie można. Zamiast przysposabiać uczniów do życia, zamiast wychowywać ich na gospodarzów, obywateli kraju, staje się szkoła sama w sobie celem. Powtarzamy aż do przesytu, że kraj nasz rolniczy, a przecież rolnictwo w największem zaniedbaniu. Uchwały sejmowe, zmierzające do wychowania w kierunku praktyczniejszym, rozbijają się o zgubny system pedagogii formalistycznej, która zagważdża głowy i czyni je fizycznie i umysłowo niezdolnemi. Korzyści, jakie za granicą odnoszą pracownie szkolne, roboty ręczne w ogrodzie lub warsztacie, zaprawiające młodzież do przemysłu, rolnictwa lub gospodarstwa, są powszechnie znane. U nas jednak jak gdyby nie wiedziano o tem, każą wyliczać z pamięci szczyty gór niebotycznych i uprawiać na wielką skalę gimnastykę — języków. Bardziej zatrważającą jest ilość dzieci niepobierających wcale żadnej nauki. W roku szkolnym 1889/90 było według przytoczonego sprawozdania normalnie rozwiniętych w wieku od 6—12, a niepobierających żadnej nauki 157,028 chłopców i 129,312 dziewcząt, razem 349,340 dzieci; dodajmy do tego nieuczących się 2,526 dzieci ułomnych lub umysłowo niezdolnych, otrzymamy w porównaniu do ilości dzieci obowiązanych do uczęszczania na naukę codzienną przeszło 42% niepobierających żadnej. Jeszcze gorzej przedstawia się stan kształcenia dopełniającego. „Przeszło 71% dzieci w wieku od lat 12—15 nie pobiera zgoła żadnej nauki!" Różne składają się przyczyny na to, że młodzież miejska po opuszczeniu szkół zapomina nawet czytać i pisać; dość, że z pomiędzy 5,933 naczelników gmin nie umiało czytać ani pisać 4,743, czyli przeszło 80%. Z pomiędzy 11,701 członków zwierzchności gminnych mieliśmy 10,390 analfabetów, czyli przeszło 88%, a są powiaty, gdzie liczba członków zwierzchności nieumiejących ani czytać, ani pisać, wynosi niespełna 100%! I ludzie ci powołani do służby publicznej i pełnienia obowiązków obywatelskich mają rozstrzygać w sprawach nieraz zagmatwanych. Takie owoce wydała nasza pieczołowitość o oświatę, która leży na ustach wszystkich. Źródeł niewydajności szkoły należy szukać w stosunkach ekonomicznych kraju, ale wiele winy przypisać trzeba samej organizacyi szkolnictwa.

Jeden z moich kolegów ułożył następujący dekalog, który odmawiać musi każdy nauczyciel galicyjski: „Dziesięć przykazań danych przez pedagoga na górze „Krywań" dla szczęścia i dobrobytu nauczycieli ludowych w Galicyi":

1) Nie będziesz miał innego Boga ani pana prócz wójta, pisarza gminnego, przewodniczącego Rady miejscowej, prezesa Rady okręgowej, nadzorcy szkolnego, członków Rady szkolnej okręgowej i krajowej, wydziału Rady powiatowej, wydziału krajowego, c. k. urzędu powiatowego i c. k. Namiestnictwa. 2) Nie będziesz brał nad 300 złr. rocznej płacy ani centa więcej, choćby zasłużenie. 3) Pamiętaj, abyś dla dobra szkoły poświęcił wszystko, nawet swoje zdrowie, żonę i dzieci. 4) Czcij swych przełożonych i dobrodziejów, których ci w 1-em przykazaniu nadmieniłem, jak matkę swoją, aby ci się dobrze na twej posadzie wiodło i abyś żył aż do śmierci. 5) Nie będziesz zabijał głupich swych przekonań i jaknajpokorniej stał u progu drzwi swych przełożonych, wyrażał swe życzenia i prośby w formie błagalnej i ile możności całował ręce jaśnie wielmożnych. 6) Nie cudzołóż, tj. nie pragnij nigdy ludzkiego pomieszkania, zmniejszenia lat służby, ani też podwyższenia płacy, ani żadnych zapomóg, zaliczek, choćbyś miał z całą rodziną z głodu umrzeć. 7) Nie będziesz kradł ani jednego dnia szkolnego, choćby tego wymagała najgwałtowniejsza potrzeba ratowania twego lub żony zdrowia. 8) Nie mów fałszywego świadectwa przeciw koledze twemu, owszem chwal, że mu błogo i dobrze w zawodzie nauczycielskim. 9) Nie pożądaj panienki bliźniego za żonę dla siebie, albowiem nie będziesz miał za co ją wyżywić. 10) Nie pożądaj ani praw obywatelskich, ani żadnej godności w społeczeństwie, a tem mniej zarobku po za godzinami szkolnemi na utrzymanie rodziny, gdyż postępowaniem takiem uchybisz swej godności nauczycielskiej i ściągniesz na siebie dyscyplinarkę.

My, pionierowie idei oświecenia ciemnej masy społeczeństwa, rdzeń narodu stanowiącej, zasiadając po całodziennej twardej pracy do gorzkiej uczty życia, obficie skrapianej łzami niedoli, wołamy chórem zło-

---

sunkowo zarobek przyczyniły się trochę do załagodzenia niezgody między ojcem a Karolem. Podczas jednej z takich wycieczek Jan dostał febry i musiał zostać parę dni w łóżku. Sara ukradkiem przychodziła i pielęgnowała chorego; pragnęła ludziom tym nieba przychylić; innej ręki kobiecej, któraby w potrzebie mogła się okazać pomocną, nie było. Kren Normand był oszczędny.

Wreszcie mieszkańcy dun zawiązali spółkę, która wynajęła łódkę i kupiła największy z parowców, znajdujących się na mieliźnie. Byłby to świetny interes dla tych biednych ludzi, gdyby pogoda dopisała. Ale pogoda nie dopisała. Pewnego popołudnia zerwała się burza, może wezbrało. Na parowcu zdania były podzielone: jedni byli za tem, aby natychmiast przybić do brzegu, a pośród nich i Kren Normand, utrzymujący, że tym razem i na połowie zarobku poprzestać można. Inni chcieli dokończyć połowu i ci właśnie zatrzymali Karola. Rozszalałe żywioły rzuciły łódką o złamaną żelazną krawędź parowca i łódka rozbiła się. Nadeszła wprawdzie pomoc z lądu, zawrażono jednak brak kilku śmiałków. Zniknęli na zawsze; pomiędzy nimi był i Karol.

Omdlałego Krena zaniesiono do domu. Jan leżał w gorączce, nie czując, że obok niego złożono jeszcze jakieś ciało. Sara była właśnie w pokoju. Chory potrzebował jej pomocy: cudze nieszczęście kazało zamilczeć własnej boleści.

Przyszedłszy trochę do siebie Kren, zaczął rozmyślać nad poniesioną stratą. Synowie ci byli jego dumą i radością, przytem pomagali mu nieść ciężar troski o chleb powszedni. Tu w dunach wszystko jest wyrachowaniem — to wypływ smutnej konieczności. Można synów swych bardzo kochać, a jednakże wiedzieć, czem są wobec potrzeb codziennego życia.

Całą swą miłość Kren przelał teraz na najmłodszego. Jana i w nim pokładał wszystkie nadzieje. Zdarzało się często, że siadał w dunach na kupce piasku ze wzrokiem w dal utkwionym, mrucząc coś pod nosem, wkopując nogi w piasek i opodal rosnącą trawę i patrzył na blado-różowe wybrzeże, na unoszący się prąd, który zwiastował, że porównanie dnia z nocą przeszło, albo że się zbliża... zawsze to porównanie!

A w domu Sara gospodarowała. Kiedy ojciec i syn podnieśli się wreszcie z łoża, kiedy pierwszy raz uprzytomnili sobie, co utracili, zrozumieli też, co zyskali. Ani słówkiem o zmianie tej nie napomknięto. Weszło w zwyczaj, że młoda ta osoba, miła, łagodna, małomówna a nie krnąbrna, wchodziła i wychodziła z ich domu, aż wreszcie wprowadziła się na strych i zajęła się energicznie gospodarstwem. To ostatnie znajdowało się w stanie zupełnego zaniedbania.

Kren Normand mówił z nią bardzo rzadko w ogóle, o synach zaś nigdy. Pewnego dnia zastał ją we łzach nad jakimś starym listem i pojął wreszcie, że i ona stratę poniosła.

Rodzina Krena żyła w zupełnem prawie odosobnieniu. Jan był w jednym wieku z Sarą, młody więc, jak ona i przytem miękkiego serca, weselszy, niż tamci. Stał się jej powiernikiem. Czasami zdawała się być mu matką, on jej — dzieckiem.

Stary zauważył — z bólem w sercu — że młodzi zbliżają się do siebie. Lecz nie mógł się już obejść bez Sary, a kiedy zaczął rozmyślać nad tem, czy jednak nie potrafiłby jej usunąć, uczuł w głowie taki zamęt, w sercu taką boleść, taką niemożność przeniknięcia istoty rzeczy, że puścił wodze wszystkiemu, wszystkiemu, wszystkiemu! Tak, był już zbyt słaby, zbyt mały, by oprzeć się czemukolwiek — choćby sobie samemu!

. . . . . . . . . . . . . . .

Pewnego dnia, latem, Kren siedział na piaskowem wzgórzu i po przez zgłębienie leniwie spoglądał na morze. W nocy było bardzo zimno, burzliwie, teraz wiatr trochę ucichł. Tylko wezbrane fale przykrywały

żonym z 6,000 głosów nauczycielskich jedynie o grubszą kromkę chleba... Nędza zrobiła z nas żywe obrazy nauki „poglądowej,“ jakby na zaoszczędzenie naszym opiekunom wydatków na przybory szkolne. Tysiące są między nami, co nie mają czem przyodziać swych dzieci, tych kwiatów i nadziei naszych, nie są w możności posyłać ich do szkół, choć sami są światłodawcami, a patrząc na swoją nędzę, uczą o ojcowskiej opiece władz... Jakaż okropna parodya! Jest jednak zaraza, którą sam kraj niebacznem swem postępowaniem wszczepia w umysły młodociane. Jest to jad gorszy od wszelkich krzywd, wyrządzonych biednemu nauczycielowi, gdyż zatruwa zawczasu serce i umysł niewinnych dziatek. Mamy tu na myśli owo rozgoryczenie, które coraz bardziej owłada umysł przewodników i wszczepia się przez ciągłe obcowanie w młode latorośle. Widmo organizacyi zwabiło nauczycielstwo, a przełożeni ludzą je do dziś teraz przegrywaną na fujarce piosenką o wzniosłem stanowisku, którego nagrody szukaćby potrzeba w niebie. Ale frazesami tymi nie nasyci próżnego żołądka ani nie okryje nagiego ciała. Kiedy c. k. woźni i odźwierni mają nierównie lepsze uposażenie od nauczycieli, bo prócz 500 zlr. płacy otrzymują różne łapówki, za niższe zaś pochylenie się przed przechodzącym dygnitarzem smaczne kąski gratyfikacyj, nauczyciel ludowy po czterech latach walki z biedą podczas studyów w seminaryum, po dwu latach bezpłatnej praktyki w szkole, a potem po kilkunastu latach pracy zawodowej dostaje około 200 zlr. rocznego uposażenia, z czego będzie miał opłacać 60—70 zlr. rozmaitych taks i należytości. Mylne jest twierdzenie, jakoby lud nasz nie pragnął wogóle oświaty. Przyczyna jego obojętności i małego zainteresowania się szkołą nie leży w niechęci do oświaty, jak powszechnie sądzą, lecz w tem, że szkoła nie wypływa z potrzeb ludu, ani potrzebom tym czyni zadość. Drugą ważną przyczyną jest zwalenie na barki jego całego niemal ciężaru utrzymywania szkoły. Z goryczą musi on patrzeć na ten przybytek wiedzy, którego skutków jeszcze nie zaznał, ale który mu z ust odbiera ostatni kawałek chleba. Do tego dodać trzeba i wykonywanie przymusu szkolnego. Lud nie może obywać się bez pomocy dziatwy przy zajęciach gospodarczych. Z tym faktem należy się liczyć a nie okładać, jak to czyni ustawa szkolna, karami szkodliwemi a nawet wprost haniebiącemi nieposyłających dzieci na naukę. Jeżeli biednego wieśniaka za to, że używa niezbędnych rąk swej dziatwy do gospodarstwa, grabią lub zamykają do aresztu, to naturalnie nie może on przyjaznem okiem patrzeć na sprawcę swego udręczenia. Środki zaradcze tego rodzaju, jak np. uzależnienie ślubu, schedy itp. od świadectwa szkolnego, okazałyby się, zdaniem naszem, o wiele skuteczniejszymi. Dotychczasowe zaś kary dotyczą zazwyczaj najuboższych. Zamożniejsi bowiem i bardziej wpływowi gospodarze umieją się zręcznie wywiązać z obowiązku posyłania swych dzieci do szkoły. O bezsilności kar przekonały się nawet władze szkolne, które w obecnym roku okazały większą wyrozumiałość w wykonywaniu przepisów co do przymusu. Rady szkolne tłomaczą ten objaw uwzględnieniem położenia ludności dotkniętej nieurodzajem. Mimo to wykonywano w tym roku orzeczeń, skazujących na karę aresztu, 2,653! Suma zaś grzywien pieniężnych, ściągniętych od nędzarzy za nieposyłanie dzieci do szkoły, wynosi 9,436 zlr.

Nie domagamy się na koszt ubogiego kraju zbytkowych budynków i przyborów, którymi się odznaczają gmachy szkolne za granicą, ale stosunki uposażenia naszych szkół są pod względem zdrowotnym zabójcze. Urzędowa statystyka wykazuje niemal połowę szkół mniej lub więcej „nieodpowiednich“ pod tym względem. Zamkniętych zaś i nieczynnych dla braku budynków—86.

Wmyśl uchwały sejmowej dążyły władze w tym roku do zaopatrzenia w szkoły tych gmin, które ich dotąd nie mają; natomiast nie polepszono stosunków w istniejących już zakładach. Nie zwiększyła się też ilość szkół w miastach, gdzie obok przeludnienia kwitnie analfabetyzm. W stolicy kraju nie uczęszcza do szkoły 10,612 zapisanych dzieci, a ile nie zapisało się! Natomiast w jednej klasie napotkasz stu kilkudziesięciu uczniów, zbitych do kupy jak śledzie. Nadto ilość klas równoległych przewyższa cyfrę głównych, na czem cierpi ogromnie stan klas prowadzonych przez nauczycieli tymczasowych, zmieniających się za lada podmuchem wiatru albo ginących z głodu na nadetatowych posadach (płatnych po 10 do 20 zlr. miesięcznie!). W takich warunkach daje się coraz dotkliwiej odczuwać brak sił nauczycielskich w Galicyi, co stwierdza nawet urzędowe sprawozdanie, starające się uwydatnić postępy szkolnictwa w jaskrawych zestawieniach liczebnych. Dziś wstępują do zawodu nauczycielskiego odpadki społeczeństwa, a czynią to nie z zamiłowania, lecz z konieczności. „Wenn alle Stücke reissen...“ Odwrotnie idą uzdolnieni nawet nauczyciele do straży skarbowej, do urzędów podatkowych itp., panuje już bowiem ogólne przekonanie, że praca około wychowania w szkole ludowej nie przynosi odpowiednich ofierze wyników, gotując światłodawcom samym przedwczesny grób, a skazując pozostałą rodzinę na niedostatek i nędzę. *Beta.*

## LISTY WIEDEŃSKIE.

*8 listopada.*

Parę słów o Bibliotece polskiej. — Wykład dr. Bindera o regulacyi waluty i odczyt pani Wyczółkowskiej o subjektywizmie kobiet. — Wystawa nowo-zelandzka w muzeum przyrodniczem.

Biblioteka polska z nastaniem pory zimowej rozpoczęła zwykłą swą działalność, której zawdzięczać należy zogniskowanie inteligencyi polskiej, żyjącej w Wiedniu. Dwa odczyty w krótkim po sobie czasie ściągnęły publiczność do lokalu na Dorotheerstrasse. Dr. Binder, wielce zasłużony w rozwoju Biblioteki, doradca prawny Banku austro-węgierskiego, przedstawił w swym wykładzie powikłaną sprawę regulacyi waluty austryackiej, o której tu wszyscy dziś mówią, a którą mało kto rozumie. Wykład ten był zarówno przystępnym, jak gruntownym i zawierał niejedną wskazówkę cenną, której brakło najlepiej nawet poinformowanym dziennikom tutejszym. Suchy nieco, acz ważny przedmiot zajmował bardziej mężczyzn, aniżeli panie, które tem żywiej zainteresowały się odczytem „O subjektywizmie kobiet.“ P. Wyczółkowska, odbywszy studya filozoficzne w Paryżu, osiadła w Wiedniu, gdzie w Bibliotece polskiej rozwinęła działalność godną uwagi. Jej inicyatywie zawdzięczać należy powstanie kółka pań, zajmującego się literaturą i naukami. Odczytem swym dowiodła, że nie jest dyletantką na polu filozofii. Przedstawiła ona z pełną znajomością nowszej literatury psychologicznej istotę subjektywnego a objektywnego typu umysłowego, wykazując następnie, że subjektywizm kobiet nie jest wypływem przyrodzonej, niezmiennej organizacyi, lecz raczej skutkiem sfery umysłowej, w której kobiety żyć muszą, zajęć ich i całokształtu życia. Odczyt p. Wyczółkowskiej był istotnie zajmującym, bo zawierał wiele nader trafnych uwag i spostrzeżeń, świadczących o bystrej obserwacyi, o szerokości poglądów prelegentki na życie i zrozumieniu skomplikowanych typów umysłowych. Styl płynny, barwny i pełen temperamentu oryginalnego dowodził, że p. Wyczółkowska należy nietylko do ludzi myślących, ale do tych, którzy powołani są do wysyłania myśli swych w świat. To też nie wątpimy, że z rozprawą jej zapozna koła szersze któreś z pism warszawskich.

Tłumy ciekawych ściąga obecnie wystawa nowo-zelandzka do muzeum przyrodniczego. Dziwnym trafem zbadanie Nowej Zelandyi zawdzięczamy dwom badaczom austryackim: prof. Hochstetter znanym jest ze swych studyów całemu światu naukowemu, a pono i Reischek, badacz i podróżnik niezmordowany, który w ciągu lat dwunastu nagromadził cały skarbiec kultury nowo-zelandzkiej, poczesne zajmie miejsce w rzędzie etnografów, skoro ogłosi drukiem wyniki swych poszukiwań. Reischek odpowiada całkowicie typowi śmiałych podróżnych, znanemu młodzieży z opisów pobytu wśród ludów dzikich. Niewyczerpany w podstępach, którymi bronił się przeciw drapieżnym instynktom ludów, poskramiając zazwyczaj dzikich dźwiękiem harmoniki; jako myśliwy torował sobie drogę przez lasy dziewicze, zbierając okazy zwierzyny i roślin, odważnie też czółnem przesuwał się ku drobnym wyspom, rozsianym po morzu. Znosił zarówno klimat gorący, jak wilgocią przesiąknięty, zrezygnował całkowi-

---

mieliznę, z hukiem starą pieśń mu niosąc, pieśń, w której ani jedna nuta o słońcu i pogodzie nie mówiła. „Jörgen,“ „Karol“ — oto słowa, które fale o mieliznę rzucały, a silny prąd w wirze unosił. Dlaczego on tutaj siedzi, dlaczego on się zestarzał, a młodzi pomarli? Dlaczego? Ale prawda, przecież Sara i Jan są jeszcze w domu, Sara, Sara o łagodnych oczętach! Teraz, w tej chwili, oczy te nie patrzą na Janka, bo Janek z kilku sąsiadami jest na morzu. Przeprawili się na norwezkim promie. Ale Sara czeka i Sara naturalnie pierwsza Janka przywita!

Stary ciężko westchnął i wkopał nogi w piasek. Byłże zazdrosny o miłość Sary dla syna? O miłość dla swego jedynego, jedynego, co mu został? Czy może o Sarę był zazdrosny, zamiast się cieszyć, że Sara jego własnego syna lubi?

Siedział wpatrzony w ów prom norwezki, który się zbliżał, niby maleńka skorupka, daleko na mieliźnie. Nagle skorupka niknie, niby płatek śniegu w niezmierzonym błękicie.

Nie krzyknął. Zaryczał jak zwierzę, śmiertelnie ranione. Potem zesztywniał jak trup, stoczył się z pagórka, podniósł się znowu i jak szalony pobiegł na wybrzeże, szukając czółna. Czółna nie było, bo ostatnia klęska na parowcu pozbawiła mieszkańców duny jedynego ich bacika.

Przez cały dzień, całą noc i jeszcze cały dzień wzdłuż wybrzeża chodził człowiek stary, siwy, złamany, a za nim — młoda kobieta — szukali trupa.

Szukali razem, w niemej miłości dla Janka, z zamarłem słowem na ustach. I znaleźli go, daleko, daleko, dokąd uniosły go bałwany, a prąd przeciwny na brzeg wyrzucił. Ta sama niema miłość, bez słowa skargi, złączyła ich ręce, kiedy składali go na zwyczajnej taczce, aby wspólnemi siłami zawlec ją do domu. Ciągnęli ją po miękkim piasku, koło wcinało się w piasek, a pod wielkim ciężarem skrzypiało, skrzypiało tak żałośnie, jak kulik gwiżdżący w lesie.

Oto romans w dunach: jak wiele innych skończył się małżeństwem. Ludzie w dunach różnie mówili o tem, że Sara zdecydowała się wyjść za starego Krena. Była przecież po kolei narzeczoną wszystkich jego synów. Lecz ci ludzie z dun — jak zresztą i inni myślą i mówią zazwyczaj tak, jak gdyby istniał tylko jeden rodzaj miłości.

A miłość bywa różna...

Przełoż. *Malwina Posner*.

cie z wygód życia cywilizowanego, częstokroć bywał rannym, ciągle się narażał. Jak uciążliwemi były jego podróże, wnosić można stąd, że zmuszony był pamiątki zdobyte dla swych zbiorów dźwigać na własnych plecach, co więcej, fundusze nie wystarczały mu często. Wówczas wracał w okolice cywilizowane, a popracowawszy przez czas jakiś, ze środkami zebranymi szedł znów do maoriów. Właśnie zbadaniu tego szczepu polinezyjskiego, dziś zanikającego, poświęcał się Reischek. Poznał on dokładnie jego naturę i zwyczaje, a zbiory jego ilustrują wybornie nietylko przyrodę, ale całokształt kultury maorów, ich życie codzienne i sztukę.

Kultura ta zaś zajmująca jest głównie z tego względu, że przedstawia czysty typ z okresu kamiennego, którego życie różni się zasadniczo od życia ludów, używających już kruszców. Wszystko to idzie trybem niesłychanie powolnym, pokolenia składają się na to, czego na wyższej stopie kultury dokonywa jednostka w kilku latach, a na rzeczy, które człowiek obeznany z użytkiem żelaza wyrabia w ciągu kilku godzin lub dnia, jak np. topór kamienny, maori potrzebuje lat dwanaście. We wszystkiem występuje jako cecha charakterystyczna skierowanie umysłu ku przeszłości, zajmowanie się pokoleniami minionemi, bezmyślność w odniesieniu do przyszłości.

Najpospolitszem w u maoriów narzędziem jest broń, przeznaczona nie dla zwierząt dzikich, rzadkich w Nowej Zelandyi, lecz dla sąsiadów. Buława odgrywa rolę miecza w tradycyi rycerskiej: z dumą wyliczają tam właścicieli buław poszczególnych, sięgając aż do przeszłości najodleglejszej: więcej niż inne ludy dzikie zważają maoriowie na strój; zmusza ich do tego klimat wilgotny. Praktyczny przemysł domowy wytworzył tam wyborne koce z włókien roślinnych, po których deszcz spływa, nieprzenikając ich. Znamiennem jest wyrażanie usposobienia przyjaznego lub wrogiego rodzajem stroju: maori nosi inne ozdoby we włosach i w uszach, skoro okazać chce życzliwość, a inne, skoro zdradza nienawiść.

W sprzętach, przeznaczonych do użytku codziennego, częstokroć zastosowane są kości ludzkie, a niejeden z zebranych przez Reischeka odnosi się do zwyczajów ludożerczych. Są tam noże i widelce nadające się szczególnie do spożywania ciała ludzkiego, ozdobne naczynia, w których podaje się do uczt pewne części ciała itp.

Najoryginalniejszą i najciekawszą częścią wystawy Reischeka, to przedmioty sztuki. Odnoszą się one przeważnie do kultu; widzimy amulety kamienne, drobniutkie bożki, portrety umarłych, które otaczane bywają czcią, wreszcie fantastyczne postacie, ktoremi zdobią świątynie, domy i okręty. Snycerstwo u maoriów bardziej postąpiło aniżeli plastyka kamienna, a ornamentyka zdumiewa bogactwem. Przedmioty zgromadzone przez Reischeka, to bez wyjątku wyroby epok minionych; pamiątki te nieraz już na poły w ziemi zgrzęły, pokolenie dziś żyjące nie zrozumiało ich i nie posiada już sztuki żadnej. Zajmującą jest okoliczność, że zarówno stroje ozdobniejsze, jak sprzęty artystyczne i przedmioty sztuki są wyrobami naczelników szczepu, żon ich i dzieci. Rodziny te, nieoddające się pracy codziennej, były wyłącznie uprawnione do zajmowania się sztuką. Ta arystokracya artystów potwierdza prawo historyozoficzne, że sztuka tam dopiero się poczyna, gdzie się skończyły troski materyalne i walka o byt codzienny.

*Stwosz.*

## JAN ORTH.

Prawdopodobna śmierć arcyksięcia Jana, który jako kapitan okrętowy miał zginąć podczas burzy obok przylądku Horn, obudziła żal we wszystkich tych, co śledzili rozwój tego oryginalnego i szlachetnego charakteru. Dom Habsburgów szczycić się może, że wydał cały szereg jeśli nie umysłów, to charakterów niepospolitych: szkoda tylko, że paraliżował zazwyczaj ich dążenia i zmuszał ich do bezczynności lub do zgonu tragicznego. Arcyksiążę Jan był człowiekiem nawskroś nowożytnym. Urodzenie posłużyło mu do zdobycia owego wytwornego ekstraktu wykształcenia, który wcześnie rozszerza umysł i ułatwia zoryentowanie się w świecie i czynienie doświadczeń wszechstronnych; lecz nie napoiło go bynajmniej znanymi przesądami rodowymi lub klerykalnymi. Ujawnił on swą naturę naprzód zrzeczeniem się przydomku „Salvator," przysługującego wszystkim członkom domu toskańskiego. Koła konserwatywne, wielce tem zgorszone, nie posiadały się z oburzenia, kiedy następnie arcyksiążę w balecie p. t. „Die Assasinen" przedstawił wykroczenia fanatyzmu religijnego. Po zdemaskowaniu spirytysty Bastiana wydał broszurę, z której przemawiał duch człowieka myślącego filozoficznie i postępowo. Samoistność i zdrowy kierunek wystąpiły w sposób bardziej jeszcze rażący sfery rządzące w pismach jego wojskowych. Znanym jest odczyt jego „Drill und Erziehung," zwrócony pośrednio przeciw arcyksięciu Albrechtowi, głównodowodzącemu armią austryacką, a żądający podniesienia umysłowego i moralnego poziomu armii. Mniej popularnie, a na podstawie szerokiego materyału wyraził poglądy swe na organizacyę armii i taktykę wojenną w dwutomowem dziele, przedstawiającem historyę pułku im. arcyks. Wilhelma. Dzieło to zawiera o wiele więcej, aniżeli tytuł przyrzeka, mianowicie krytykę wojen Austryi od r. 1702 aż do czasów najnowszych. Rząd wyczytał z tej książki wszystko, co autor pragnął wypowiedzieć; stąd zrodziło się owe głębokie niezadowolenie, które arcyksięciu odbierało szanse do urzeczywistnienia reformatorskich myśli we własnej ojczyznie. Będąc członkiem czynnej armii, trawiony skrępowaną energią i ambicyą, w której stanowczo przeważały pierwiastki szlachetne, poczynił parę kroków sprzecznych z karnością. Wyjechał nagle do Londynu, nie wziąwszy urlopu, a o instytucyach armii i wybitnych jej wodzach wyrażał się w sposób bezwzględny. Przez czas jakiś żył arcyksiążę Jan w Orth nad jeziorem gmundeńskiem lub we Fiume. Tam to dojrzała w nim myśl zrzegnowania z wszystkich przywilejów, które nadało mu urodzenie i rozpoczęcia nowego życia na nowej podstawie. Zdał egzamin na kapitana okrętowego i przyjąwszy nazwisko Orth, wybrał się do Ameryki, gdzie nabył okręt handlowy. Przed wyjazdem wystosował do redaktora dziennika *Wiener Tagblatt* list, zawierający ustęp charakterystyczny: „Jeszcze prośba jedna: zechciej pan wierzyć w *czysty* zapał, w dążność idealną, nie sądź, że we wszystkich wypadkach działa ambicya awanturnicza..."

Do niedawna było tajemnicą, że na niezwykły zwrot w życiu arcyksięcia wpłynęła w wielkiej części kobieta. Od lat paru kochał się w córce obywatela wiedeńskiego, która mu odwzajemniała się w uczuciach. Przed wyjazdem jego do Ameryki odbył się ślub tajemny, a w parę miesięcy potem młoda małżonka, bez towarzystwa puściła się w podróż i przybyła do Ameryki w chwili, kiedy Orth nabył okręt handlowy. Od tego czasu już się nie rozdzielili, a wierna towarzyszka zginęła zapewne wraz z mężem w falach morskich. Niektóre pisma powątpiewają o jego śmierci. Zdaje się, że w kołach najlepiej poinformowanych nadziei tej nie żywią, gdyż jeden z młodych książąt toskańskich wyjechał do Ameryki, aby odszukać zwłoki Jana.

S.

## BADANIA NAUKOWE.

### PSYCHOLOGIA.

Angelo Mosso, *Strach*, studyum popularno-naukowe, przekład M. Flauma, Warszawa.

Nie każdy zapewne zna strach w tej jego potędze, kiedy to „krew ścina się w żyłach," a człowiek czuje się obezwładnionym wobec niebezpieczeństwa, czy to rzeczywistego, czy urojonego; sądzę jednakże, że każdy w większym lub mniejszym stopniu doznał go choć raz w życiu. Należy on bowiem do objawów powszechnych, wspólnych nietylko wszystkim ludziom, bez względu na wiek i wykształcenie, ale i zwierzętom. Powiadają wprawdzie o pewnych osobnikach, a nawet czytamy o nich w historyi, że szczególnym przywilejem natury wolni byli zupełnie od strachu i śmiało zaglądali w oczy najgroźniejszym niebezpieczeństwom. Przeczyć temu nie myślę, jakkolwiek tego rodzaju przykłady więcej może świadczą o odporności organicznej na gwałtowne wzruszenia i o sile panowania nad sobą, niż o zupełnym braku wzruszenia, które w danych warunkach jest tak samo koniecznem, jak odbieranie wrażeń światła przez oczy, zwrócone ku słońcu. W każdym razie nawet ci, co zdają się nie uczuwać strachu wobec niebezpieczeństw rzeczywistych, bardzo często tracą całą przytomność umysłu wobec urojonych, jakiemi są wszelkiego rodzaju przywidzenia.

Bądź jak bądź, kto się zastanawiał nad objawami strachu, ten nie mógł nie zwrócić uwagi na dziwną jego naturę, czyniącą zeń niejako wyjątek z pośród wszystkich uczuć, zwykłych sercu ludzkiemu. Kiedy inne, tak przyjemne, jak i przykre, stanowią naturalne bodźce, popychające istoty żyjące do działania w celach pożytecznych dla życia, strach przeciwnie wywołuje w całym organizmie tak gwałtowne zaburzenie, że pod jego wpływem nietylko ginie przytomność, ale nawet swoboda ruchu i to właśnie w chwili, która wymaga najenergiczniejszego działania i jasności myśli. Jak wytłomaczyć tę anomalię? Czy wystarczy powiedzieć, że pod tym względem organizm żyjący nie zdołał jeszcze należycie przystosować się do otoczenia? Ale w takim razie należy wyjaśnić przyczyny, dla których fakt natury tak powszechnej sam jeden oparł się wpływowi rozwoju i pozostał zdala od dobroczynnych jego skutków. To trudne ze wszech miar zagadnienie postanowił rozstrzygnąć jeden ze znakomitszych fizyologów włoskich, Mosso, którego dzieło zostało właśnie przyswojone naszej literaturze.

Autor, zabierając się do pracy, pojmował wszystkie trudności, które się z nią wiążą. To też wprzódy nagromadził dostateczną ilość faktów, bądź znanych skądinąd, bądź przez siebie samego zebranych. Nie zadawala się on samą tylko obserwacyą zewnętrznych objawów strachu, lecz usiłuje przeniknąć w głąb ich istoty, odkryć wewnętrzny ich mechanizm. Dlatego czyni liczne doświadczenia tak nad ludźmi, jak i nad zwierzętami, obmyślając w tym celu przyrządy, zapewniające jak największą ścisłość badania.

Zastanawiając się po kolei nad każdym ze szczególnych objawów strachu, wykazawszy wszystkie sprężyny, wprawiające w ruch sprawy życiowe pod wpływem gwałtownego wzruszenia, wznosząc się powoli od faktów pojedynczych do coraz szerszych uogólnień — dochodzi w końcu do wniosku, że strach jest chorobą, w części odziedziczoną po przodkach, w części nabywaną wychowaniem.

Jeżeli każdy z osobnych rozdziałów dzieła, stanowiących pojedyncze stopnie indukcyjnego dochodzenia prawdy, jest arcydziełem w swoim rodzaju tak pod względem ścisłości naukowej, jak i jasności wykładu,

to i z częściowymi wywodami autora niepodobna się nie zgodzić nawet wtedy, gdy występuje przeciwko takim powagom, jak Darwin i Spencer — za to ostateczny wniosek, do jakiego on dochodzi w swem zapatrywaniu na naturę strachu, wydaje mi się niedostatecznie upowodowanym i zakrawa na jeden z owych paradoksów, jakimi bardzo często dopomagamy sobie w kłopotliwem położeniu, z którego inaczej wyjść nie można.

Nie ulega wątpliwości, że w bardzo wielu wypadkach strach jest objawem chorobliwym, ale bywają niemi również wszystkie inne wzruszenia i namiętności. Czy szalony gniew, popychający do czynów nietylko bezużytecznych, ale dla samego osobnika szkodliwych, nie jest chorobą? Czy rozpacz, zaślepiająca człowieka na wszystko, co nie jest jego cierpieniem i każąca mu szukać ucieczki przed niem w dobrowolnej śmierci — może się uważać za objaw normalny? Czy np. jakakolwiek namiętność, pozbawiająca nas trzeźwości umysłu i swobody woli, czyniąca z nas igraszkę złudzeń, którym dobrowolnie się poddajemy — nie jest także swego rodzaju chorobą? Czy wszystko to jednakże upoważnia nas jeszcze do tego, ażebyśmy mieli ryczałtowo takie wzruszenia, jak gniew, rozpacz, zemsta, takie namiętności, jak miłość, bez względu na ich gwałtowność, w pewnych razach rzeczywiście chorobliwą, zaliczać do objawów z natury swej należących, jeżeli nie do psychiatryi, to w każdym razie do patologii wewnętrznej? Alboż w takim razie potrzeba byłoby wszystkie uczucia przykre zaliczyć do chorób, a idąc dalej w logicznej konsekwencyi, skończyć na zdaniu Kanta, który uważał wszystkie wogóle uczucia za nienormalne stany duszy, obojętność mając za ostateczny cel, do jakiego dążyć powinniśmy.

Nie przeczę, że strach zajmuje wyjątkowe stanowisko wśród innych wzruszeń, w każdym przecież razie nie o tyle, ażeby nie miał z niemi nic wspólnego i ażeby można go było uważać za coś bezwzględnie od nich różnego. Przeciwnie, wszystkie jego objawy co do swej natury są te same, jakie spotykamy w gniewie, rozpaczy, zemście itd. i chyba tylko różnią się stopniem natężenia i pewnymi szczegółami, nadającymi właściwy im charakter i pochodzącymi stąd, że przyczyna ich jest różną. Strach czyni nas bezbronnymi wobec niebezpieczeństwa; czy nie ten sam skutek, jakkolwiek w mniejszym stopniu, wywiera na nas gniew szalony lub zemsta wściekła? Strach zabija ludzi; lecz tak samo zabija ich nieraz gniew, rozpacz, ból fizyczny i moralny.

Dla tego śmiem utrzymywać, że dzieło prof. Mosso, pomimo wszystkich zalet, jakie można przyznać pracy samodzielnej — zagadnienia, dotyczącego natury strachu, nie rozstrzyga, chociaż znacznie zbliża je do rozwiązania, dostarczywszy mnóstwo materyału, który przyszłemu badaczowi ułatwi znakomicie badanie rzeczy.

Nie zmniejsza to bynajmniej wartości dzieła, które tyle zawiera w sobie pouczających wiadomości, że kto pragnie wyrobić sobie jasne pojęcie o tem, co się dzieje w jego organizmie pod wpływem wszelkich w ogóle wzruszeń, ten znajdzie w niem dane, jakie mu w tym celu są potrzebne. Podnosi ją jeszcze sam wykład jasny i dla każdego przystępny, dla którego jednakże autor nie poświęcił nic z naukowej ścisłości. Godząc jedno z drugiem, oprowadza on, że tak powiem, za rękę, czytelnika po krętym labiryncie organicznych zjawisk, spowodowanych wzruszeniem, pozwalając każdego z nich prawie dotknąć się palcem. To też czytanie książki nie wymaga szczególnych wiadomości ani z anatomii, ani z fizyologii. Te, które są właściwe każdemu człowiekowi, mającemu ogólne wykształcenie, wystarczają najzupełniej.

*Władysław Kozłowski.*

## ZAGADKI JĘZYKA.

Lingwistyka należy dziś jeszcze do najniepopularniejszych umiejętności. Nie wypływa to bynajmniej z natury jej przedmiotu, owszem zagadnienia jej z wielu względów ciekawe są dla każdego myślącego człowieka i nader często występują w rozmowach potocznych. Zjawisko, o którem wspominamy, tłomaczy się tą okolicznością, że językoznawcy prześcigają innych uczonych w suchości i drobiazgowości swych badań i dzieł, a tym sposobem odstraszają niespecyalistów. Z tem większem uznaniem tedy powitać należy najnowszą pracę znanego filologa R. Kleinpaula, który spróbowawszy pióra swego na różnych polach twórczości literackiej, wrócił do swej ulubionej umiejętności jako stylista wyrobiony i popularyzuje obecnie cele, metody i wyniki badań lingwistycznych *).

Dla Kleinpaula język to „największa, najstarsza i najświętsza zagadka," słowa zaś są „najpopularniejszemi i najciekawszemi" zagadkami. Zajmuje on się językiem dlatego, że „poza nim nie istnieją zgoła pojęcia, a cała wiedza ludu zawartą być musi w słowach języka jego, niby w orzechach." „Gdyby język nie był stracił pierwotnej swej wyrazistości, nie potrzebowalibyśmy nic zgadywać."

Tendencya popularyzacyjna spowodowała pewną niesmaczność w dziele Kleinpaula. Mamy na myśli podział materyału. Autor grupuje go w trzech częściach, które porównywa do dań uczty: pierwsze podnieca, drugie syci, trzecie zabawia. Stąd tytuły działów tych brzmią dość dziwnie: 1-e danie (Gang): badania wstępne, 2-e danie: reguły sztuki, 3-e danie: owoce interpretacyi słów.

Naprzód zapoznaje nas Kleinpaul z powodami przemiany zgłosek. Wykazuje on, ile form językowych powstało wskutek niedbałej wymowy, wskutek ściągnięcia słów kilkozgłoskowych, następnie wskutek dodania jakiejś zgłoski lub drogą przestawienia zgłosek. Oto parę przykładów. „Sarkofagiem" zwali grecy, według Pliniusza, pewien gatunek kamienia trojańskiego, podobny do wapna, który rozkładał i pochłaniał rychło trupy w nim umieszczane. Z czasem przeniesiono nazwę tę na trumny, a niemcy, opuszczając zgłoski końcowe, zowią trumnę „Sarg." Dość dziwną jest geneza nazwy pięknej rośliny, zwanej u nas „oleandrem." Grecy zwali ją „Rhododendron," rzymianie „Lauridendron"; stąd wytworzyła się dalsza nazwa „Lauriandrum," następnie „Auliandrum," wreszcie „Oleandrum."

Skutkiem opuszczania zgłoski „graph," wytwarzają się obecnie w Ameryce słowa takie, jak: "Photo" „Litho" itp. Przykład opuszczenia w środku słowa, widzimy w niemieckiem „Getreide" (zboże), które pierwotne brzmiało „getregede." „Welt dawniej brzmiało „weralt." Po dodaniu głoski „e," z rzymskiego „spiritus" powstało francuskie „esprit." Wiele form tłomaczy się prawem "przestawienia głosek." Tak z greckiego „morfe" powstaje rzymskie „forma," z łacińskiego „dens," niemieckie „Zahn," i t. p.

Obok zmian brzmienia słów, odbywają się zmiany w ich znaczeniu. Według Kleinpaula język pierwotnie nie tworzy słów odpowiadających pewnym pojęciom, jeno wyłącznie imiona. Poglądu tego nie dzieli większość językoznawców. Według M. Müllera i S. Noirégo źródłosłowy języków indogermańskich oznaczały czynności. Działając, człowiek musiał myśleć, a tworząc dla swej czynności określające ją brzmienie, oznaczał zarazem swą myśl, a więc pojęcie. Słowo było zawsze skróceniem dla pewnego splotu wyobrażeń; często oddawało ono jedno znamię przedmiotu. Pierwotnie istniała świadomość tego związku genezy nazw; lecz niebawem pokolenia po sobie następujące łączyć zaczęły mgliste wyobrażenia ze słowami, aż wreszcie podłożono im pojęcia nowe. Etymologia zajmuje się objaśnieniem słów dziś w używaniu będących, badając pierwotne ich znaczenie. Według Kleinpaula już grecy wiedzieli, że słowa z biegiem czasu zmieniają formę i znaczenie. Wykładowi słów przypisuje Kleinpaul wielką doniosłość dla historyi poznania ludzkiego i dla filozofii. Pierwotną, najdawniejszą filozofię, wiarę i etykę odkryć może tylko etymolog. A jeżeli usilnem dążeniem logiki i metafizyki jest zredukowanie liczby pojęć, to w dążeniu tem etymologia najdzielniej je wspiera, wykazując, że wiele słów, które uważano za nazwy niezależne od siebie, są identycznemi. Ma się rozumieć, że doniosłość taką przypisywać należy tylko etymologii poważnej, postępującej ostrożnie i sumiennie, nie zaś owym igraszkom, jakiemi zabawiali się dawniej filologowie, którzy niemieckie słowo „Fuchs" wyprowadzali z greckiego "alopex" w sposób następujący: alopex, opex; pex: pex, pix, pax, pox, pux — Fuchs.

*L.*

*) Dr. Rudolf Kleinpaul *Die Räthsel der Sprache*, Lipsk, Wilhelm Friedrich.

## W PRZEDMIOCIE LECZENIA SUCHOT.

Odbieramy list następujący:

*Berlin, 10 listopada.*

Dzisiaj wreszcie mogłem się zobaczyć z Kochem. Oto co mi powiedział w kwestyi nowej metody szczepienia suchot: „Dzienniki nic nie wiedzą z tego, co robię, a twierdzenia swoje opierają na domysłach. Nic nikomu nie mówiłem, przygotowuję szczepionkę sam, chorych zaś szczepi dr. Cornet, który w tym celu otworzył klinikę. W swoim czasie — a nastąpi to za parę tygodni — ogłoszę moje dotychczasowe wyniki. Żadnych odczytów w kwestyi tej mieć nie będę." Po omówieniu z Kochem kilku spraw, dotyczących mikrofotografii kokcydyów i plazmodyów oraz po obejrzeniu najciekawszych preparatów z tej dziedziny przez Kocha i Pfeiffera zrobionych, pożegnałem go i udałem się do dr. Corneta, którego spotkałem tuż przy wyjściu z instytutu hygienicznego. Prosiłem go, aby mi pozwolił obejrzeć klinikę i chorych: dwóch przyprowadził z sobą, mianowicie młodego człowieka i dziewczynę, mających obszernego wilka twarzy *). Tych po dokonaniu zdjęć przez Pfeiffera ma zamiar wziąć do szczepień leczniczych. Na zapytanie, czy chorych przyjmuje, odpowiedział twierdząco, ale dodał, że nastąpi to po pewnym czasie, gdy klinika zostanie rozszerzoną, za dni 8—10; obecnie wszystkie miejsca zajęte.

To więc, co mówią o robieniu prób w szpitalu Charité, nie jest prawdą. Na zapytanie moje co do istoty szczepionki, Cornet odpowiedział, iż szczegóły zostaną ogłoszone, nie jest to jednak żaden preparat chemiczny, ale produkt przygotowany na drodze bakteryologicznej. Obecnie— dodał — serya pierwszych doświadczeń została ukończoną, robione są zaś szczepienia lecznicze, których wyniki ogłoszone zostaną razem ze sposobem przygotowania szczepionki.

O ile dotąd sądzić można, szczepionka wytwarzaną jest w sposób podobny do przygotowania jadu wścieklizny: zarazek przeprowadzony zostaje przez ustrój zwierzęcia odpornego na gruźlicę z tą odmianą, że następnie, o ile się zdaje, hodowanym jest na glebie, powstrzymującej rozwój siły zakażającej bez uszkodzenia samych własności morfo i biologicznych bakteryj gruźliczych.

W środę zobaczę klinikę Corneta i doniosę o szczegółach. *O. Bujwid.*

*National Zeitung*, która z Kochem pozostaje w bliższych stosunkach, donosi w dalszym ciągu szczegóły interesujące, ale do-

*) Wilk jest rodzajem owrzodzenia spowodowanego przez ten sam pasorzyt, który, lokując się w płucach i niszcząc ich tkankę, powoduje suchoty.

tyczące tylko zewnętrznej strony badania. Według niej pomocnikami Kocha są czterej lekarze: Arnold Libertz z Frankfurtu, Wiliam Levy (chirurg) z Berlina, Jerzy Cornet z Reichenhall i Edward Phuhl, jego zięć. Koch rozpoczął doświadczenia naprzód w Charité (w oddziale Senatora), ale je przerwał i porozumiał się z dr. Levym, który posiada prywatną klinikę chirurgiczną na Prenzlauerstrasse 46. Po cichu przyjęto do tej kliniki pewną liczbę odpowiednio chorych i rozpoczęto doświadczenia na suchotnikach oraz dotkniętych gruźlicą w innych organach. Jak starannie zachowywano tajemnicę, okazuje się stąd, że zarówno chorzy, jak i lekarze, obowiązani byli nie mówić nikomu ani o miejscu swego pobytu, ani o sposobie leczenia, a tylko niewielu osobom, odwiedzającym chorych, dozwolony był wstęp. Obecnie próby metody Kocha dokonywane są w innych zakładach—w klinice Bergmanna, w szpitalu garnizonowym itd. U Bergmanna przeszłego czwartku po raz pierwszy 15 chorych na gruzlicę kości i stawów poddano metodzie Kocha, a nazajutrz Bergmann przedstawił zaufanemu kółku lekarzy jednego z owych pacyentów dla okazania, że już w ciągu 24 godzin nastąpiło polepszenie stanu zdrowia. Co do natury i składu samej materyi leczniczej—zachowywana jest dotąd tajemnica. Koch własnoręcznie przygotowywa swój środek i daje go do doświadczeń. Substancya ta ma zawierać pewne przemiany bacillusa tub., jest płynną, chorym na płuca zastrzykiwaną w plecy, dotkniętym zaś gruźlicą innych organów — w najbliższem miejscu. Nie zawsze, ale często w pierwszych dniach po zaszczepieniu występuje gorączka, która jednak ustaje i organizm nie ponosi żadnej szkody. Dotychczasowe rezultaty wykazują już podobno szereg szczęśliwych uleczeń.

## LITERATURA I SZTUKA.

### WYCHÓDŹCTWO I JEGO LITERATURA.

„Poszli w świat szeroki, obcy, różnobarwny. Szli z miejsca na miejsce, z awantury jednej w drugą, jeszcze gorszą, z zajęcia do zajęcia."

Tak pisze p. Rodziewiczówna o bohaterach swej powieści, a puszczona luzem myśl moja — gdym to czytał — biegła za nimi jak lotny wicher, niehamowana niczem, wolna i rzeźka. Pruła morza, przebiegała lasy dziewicze, jak koń rozhukany szalała po stepach.

„Pampasy gorzały łuną słońca. Na widnokręgu purpurowym sylwetka jeźdźca wystąpiła jeszcze daleka i gnała w stronę obozowiska."

Kiedym skończył ten ustęp z *Kwiatu lotosu*, a jednym tchem go pochłonąłem, duszno mi się zrobiło pośród ścian czterech. W skroniach mi tętniło, pierś podnosiła się ciężko głębokim oddechem. Rzuciłem się do drzwi bez czucia już i bez pamięci — ledwie żem czapkę pochwycił po drodze.

— Pan wychodzi? To chyba niech pan kalosze weźmie, bo straszne błoto, ale i kolacya już na stole.

Stanąłem, jak wryty: błoto, kolacya — przecie Rodziewiczówna ani słówkiem o tem nie wspomina...

Inaczej nieco, a przecież podobnie pisze Sienkiewicz w *Listach z Ameryki*, podobnie pisują i inni. Każda opowieść podróżnicza zatraca te szczegóły życiowe, poniekąd musi je zatracić, jeśli nie chce być nudną. Niemniej przeto każda z nich tem samem staje się fałszem, rozżarzającym niemożliwe pragnienia, które potem twarda rzeczywistość kruszy swem tchnieniem.

Jeśli jako cień tym światłom mamiącym podłożymy pozorne kontrasty w rodzaju Sienkiewiczowskiego „Za chlebem" lub dziennikarskich artykułów, podobnych skreślonemu przez Dygasińskiego opisowi podróży czwartą klasą do Brehmy — stworzymy obraz barwny, silny zaiste światłocieniem, ale z gruntu nieprawdziwy.

Czytelnik przyzna mi niewątpliwie prawo własnego sądu w tej sprawie, jeśli dodam, że przed sześciu laty jeździłem do Ameryki w charakterze najzwyczajniejszego wychodźcy; że zanim jeszcze wyjechałem, znałem zblizka chłopów wychodźców i wiele utworów poezyi ludowej ze zwrotkami, zaczynającemi lub kończącemi się rzewnie przeciąganem „do Hamery-yki," które opisywały przesadnie niebezpieczeństwa przeprawy, albo też wychwalały „pańskie" życie w nowej ziemi, nie przepominając jednak, że „chleb tam biały, ale nie sytny," że „jesz mięsa kielo chcesz," „chodzisz w gumowych butach," „grasz na bilardzie w salunie" *), ale nie zatańcujesz jak w „oldkontry" **), że „jensze tam ludzie, inakszy obyczaj"; wreszcie, że w Ameryce nie zajmowałem się dziennikarstwem, ani malarstwem, jak znany mi osobiście, a czytelnikom z wieści zapewne literat, warszawianin Sadowski. Nie zajmowałem się nauczycielstwem, ani niczem podobnem, ale żyłem za pan brat z naszymi chłopami. Mówiłem do starszych „wy," a oni do mnie, jako do młodego „ty." Razem z nimi podawałem deski w Chicago lub połcie wieprzowe w olbrzymich rzeźniach w Kansas.

Otóż spokorniały z doświadczeniem nie wahałem się uderzyć w piersi i przyznać, że wolę czytać Słowackiego *Zachód słońca na morzu*, niż oglądać go ze statku własnemi oczyma. Więcej powiem. Kiedym po powrocie przeglądał moje listy pisane z podróży do rodziny, dziwiłem się wrażeniom, jakie one na mnie czyniły. Zaprawdę rzeczywistość nigdy tych, a przynajmniej nigdy takich nie budziła. Sądzę też, że każdy, rzucający się w świat dla wrażeń, zawiedzie się. Nie znajdzie ich w podróży, chyba stworzy je po powrocie.

Przykład najlepiej rzecz wyjaśni.

„Kansas — pisałem stamtąd — przełęcz wysoka i cienista w dwie łamie się połowy. Część wschodnia europejska, ba, nawet bardziej, niż to w Europie bywa, czysta i schludna, o szerokich ulicach, pięknych budowlach, a dalej od centrum rozkosznych domkach z okalającymi je ogródkami — barwnem jest i uroczem zjawiskiem. Zachód zaś to niby jedna fabryka. Dworzec kolei, jego rozległe zabudowania i jeszcze rozleglejsze pola zajęte pod tory. Olbrzymie rzeźnie, gdzie w jednej dziennie do 7,000 stworzeń ginie pod toporem. Wreszcie małe, liche drewniane domki, mieszkania robotników — stanowią tę Gehennę."

„Kiedyśmy po ciemku, wydrapawszy się na przełęcz, stanęli na jej szczycie, po za nami, na prawo, z za lesistego wzgórza wschodziło rumiane słońce — przed nami z lewej strony za górą między Wyandolte i Armstrong' chował się również czerwony księżyc. W mieszanem świetle rozpoznawaliśmy na zachodzie ciągnące z północy ku południowi miasteczka Armourdale, Argentina, Rosedale. Za nami jasne już wszystko i świetlane, z przodu pod nami otchłań ciemna, mgłą pokryta, migocąca tu i ówdzie elektrycznem lub gazowem światłem, ziejąca dymem fabryk i lokomotyw, a z panującego tam chaosu wyłamuje się od czasu do czasu świst przeraźliwy fabrycznej piszczałki, który robotników nawołuje do pracy."

Niezwykłe to było, i dziś swobodnie, z rozkoszą mogę sobie odtwarzać tę scenę, poić się jej wrażeniem. Ale kiedy stanąłem na szczycie przełęczy, spiesząc do pracy w rzeźni, ledwie czas znalazłem obejrzeć się wkoło dla rozpoznania sytuacyi. A kiedy pod namiotem, pisząc na kolanie, pospiesznie uzupełniałem obraz z pamięci, musiałem zwrócić uwagę na gotującą się opodal mamałygę.

I cienie, o których wspominałem, mogę w mych listach odszukać, one również sprzeniewierzały się rzeczywistości.

„Podróżujący, t. zw. międzypokładem, umieszczani bywają niżej drugiego przynajmniej pokładu, pod kajutami dla podróżującej arystokracyi i służby okrętowej przeznaczonemi. Są tam przestrzenie mniej więcej 500 m. sześciennych pojemności mające, gdzie między podłogą a powałą może na $2\frac{1}{2}$ m. od siebie odległemi, umieszczono, jeden nad drugim, dwa pokłady z desek zbitych łóżek, wązkie zaledwie między ich rzędami zostawiając przejścia. Jadący dostaje połowę takiego łóżka, około 2 metrów w kwadrat mającego. Połowa ta służy mu zarówno za sypialnię i gotowalnię, jak i jadalnię. Prosto usiąść tam nie można, więc jeśli się nie chce leżeć, a słota lub zimno spędzi z pokładu, siada się z nogami po turecku podgiętemi, z brodą przyciśniętą do piersi."

„Jaki zaduch bywa, gdy w takiej przestrzeni 30 do 50 ludzi spi, większą część dnia przesiaduje i jada, a jeszcze czasem morze wzburzone nie pozwoli i parę dni z rzędu otworzyć dla przewietrzenia okrągłych, od talerza niewiększych otworów, oknami zwanych — łatwo sobie wyobrazić. Wszędzie tam pełno śladów choroby morskiej, łupin z owoców i ziemniaków, które nieskrobane podają, ogryzków śledzi, kości itp."

Pochlebiam sobie, że ten opis dosadnością realizmu nie ustępuje temu, w którym Dygasiński poznajamia nas z wagonem czwartej klasy. Wrażenie zaś, jakie ten opis czyni, jest zupełnie fałszywem.

Czytelnik pod jego wpływem przenosi się odrazu ze swego stosunkowo miłego otoczenia w tę atmosferę brudu i zaduchu, czuje wstręt, powiedziałbym, nawet grozę. Inaczej wychodźca. Znużony wprzód odbytą drogą i wrażeniami, wszedłszy do czystej, bo świeżo urządzonej przestrzeni, zastaje na przeznaczonem dla siebie miejscu nowy sienniczek i poduszeczkę słomianą. Wyciąga się na nich, osiedla się czasowo i raduje kilkudniowym spokojem, jaki mu zapewnia to łóżko. Brud gromadzi się powoli i wychodźca ma czas przywyknąć do niego. Gdy wysiada nareszcie z okrętu, trwogą przejęty, ugina się pod niepewność dalszego losu. Żałuje niemal tej brudnej, zatęchłej nory.

Ale pomijając to, dużo więcej i dobitniej można powiedzieć na obronę międzypokładu i klasy czwartej. Jeżeli godzimy się na istnienie takiej ogromnej różnicy, jaka zachodzi między izbą, którą chłop razem ze swem bydłem zamieszkuje, a salonikiem z egzotycznemi roślinami, w którym przesiadujemy, lub boudoir'em, w którym pod atłasowemi kołdrami sypiamy — to dlaczegóż ma nas dziwić różnica między wagonem pierwszej klasy lub pierwszą kajutą, a między pokładem a klasą czwartą?

Potomek średnio zamożnej rodziny mieszczańskiej, nie zaznawszy nigdy wprzódy braku, a wzrosłem niemal w rękawiczkach, kaloszach i pod parasolem — nie uważałem przecież za stosowne dziwić się brakowi wyścielanych siedzeń w klasie trzeciej, ani też temu, że inaczej obchodzono się ze mną wtedy, kiedym jeździł pierwszą klasą do Kalwaryi, albo drugą do Lwowa lub Wiednia i sute dawał napiwki, a inaczej wtedy, kiedy skromnie przebierałem się klasą czwartą przez Niemcy.

Dygasiński ma racyę, skarżąc się na brak wygody w klasie czwartej, ale niech pojedzie z żydami na jarmark, a przyzna, że na ich wózku jeszcze niewygodniej. Trzeba przecież mieć to na względzie, że cena biletu jazdy np. z Oświęcimia do Hamburga klasą trzecią kosztuje około 25 złr., a czwartą 10.

Co do obchodzenia się z wychodźcami, winę za niedobre ich traktowanie im samym przypisać należy, że pozwolą się tak

*) Salon — piwiarnia.

**) Old country — stary kraj, dawna ojczyzna.

traktować. Ale każdy prawie wychodźca — nie chłop jedynie — jest „przestraszonym.“ Nie jest to wreszcie wyłącznym przywilejem rodu ludzkiego, boć i pies na obcem podwórku lada czego się przelęknie. Wiem, jak uspokajająco działało na mnie serdeczne przyjęcie, którego doznałem w Hamburgu od wyznaczonego na to miasto przez Towarzystwo św. Rafała męża zaufania, p. Meynberga i od wskazanego mi przezeń hotelisty Oelkersa, a przecież nie mogłem zachować zupełnej równowagi umysłu.

Wygląd wychodźcy ma dla znawcy cechy tak znamienne, że kiedym się zjawił na dworcu w Hamburgu, a byłem równie przyzwoicie ubrany, jak kiedykolwiek w Krakowie, stójkowy w tej chwili przystąpił do mnie, pytając:

— Sind Sie Auswanderer?

To też niesłusznie dziwi się p. Smólski w korespondencyi do *Dziennika polskiego*, że mimo kraciastej chustki na szyi i brudnego kołnierzyka, wytrawny agent emigracyjny zwąchał w nim odrazu dziennikarza, może nawet urzędnika policyi podejrzywał, ale nie uwierzył w wychodźcę.

Chłop zaś może i w lepszych, niż ja np., znajduje się wtedy warunkach. Do obchodzenia się szorstkiego przywykł on od dziecka i z trwogą — bywają w większych miastach lub przy wojsku służąc — miał czas się oswoić. Jestem też pewien, że wyniki spostrzeżeń Dygasińskiego nie dadzą nam scen przykrzejszych, niż te, jakie na tle stosunków miejscowych kreśli Sienkiewicz w *Szkicach węglem*, albo Prus w *Placówce*.

(D. n.).

*Uhma.*

## T E A T R.

Adolf Abrahamowicz i Ryszard Ruszkowski: *Pospolite ruszenie*. Krotochwila w 4-ch aktach.

Jeśli p. Śliwiński przypuszcza, że publiczność uczęszczająca do teatru Małego będzie mu wdzięczną za wystawienie farsy spółki galicyjskiej, to się bardzo zawiedzie. Reżyser, żywo się krzątający około urozmaicenia repertuaru dał się skusić głośną firmą, której kilka robót miało powodzenie na deskach scenicznych dzięki tylko temu, że farsy traktuje się zwykle pobłażliwie. Tym razem autorowie przekroczyli granice pobłażliwości nie tylko krytyka, ale i takiego widza, który po to wyłącznie idzie do teatru, iżby się uśmiać. Córki na wydaniu, rodzice poszukujący mężów, są to tak oklepane tematy, że trzeba bardzo zręcznej akcyi, bardzo oryginalnych postaci i prawdziwego humoru, ażeby sztuki takiej treści mogły zainteresować i zdobyć powodzenie. U pp. Abrahamowicza i Ruszkowskiego tych zasadniczych warunków nie znaleźliśmy wcale. Wprowadzili oni aż siedemnaście osób, które kręcą się bezustannie niewiadomo poco. Szlachcic zamieszkał w mieście z trzema córkami dla wydania ich za mąż. Jakież to już znane! Wiemy co dalej będzie; zjawią się konkurenci, jedni się pożenią, drudzy nie, jedne pójdą za mąż, drugie zostaną na koszu. Będą śmieszni starzy kawalerowie i szalawiły, hulaki. Wszystko to jest w farsie spółki autorskiej. Państwo Pietrusińscy usilnie poszukują mężów dla córek. Zjawia się najpierw łysy b. kapitan wojsk włoskich, Bronisław (p. Galasiewicz), któremu nieodłącznie towarzyszy emeryt Aloizy (p. Borawski). Na wydaniu są tylko dwie; z odrazą przyjmują one starych kawalerów, bo poznały na balu dwóch młodzików wesołych, którzy się im oświadczyli. Mają złożyć wizytę rodzicom, więc się cały dom odświętnie ubiera, domownicy okoliczności się nastrajają; jedna panna śpiewa, druga deklamuje, matka na żądanie ojca czyta artykuł wstępny. Ktoś dzwoni; okrzyk oburzenia — to starzy kawalerowie. Po chwili zjawia się kuzyn Pietrusińskich, Rzepecki (p. Morozowicz) po to, aby zirytować domowników przypuszczeniem, że panicze nie przyjdą. Jakoż posłaniec przynosi list, uwiadamiający, że konkurenci zagorzeli. Powstaje popłoch w domu i to w chwili gdy starzy kawalerowie zaczęli się oświadczać. Zaniepokojony ojciec śpieszy na ratunek i kompresami leczy zmyśloną chorobę — wynik rozwagi hulaków po wytrzeźwieniu. Jeden z nich, Stefan (p. Wysocki) zaloty traktuje na seryo, drugi — Maryan, syn obywatelski (p. Śliwiński), radby się wykręcić, stąd powstaje gniew między przyjaciołmi. Przyparci do muru, składają wizytę i oświadczają się rodzicom, pierwszy dla naprawienia błędu, drugi — dla podtrzymania rwącej się przyjaźni. Gdy pierwszy zdołał bardzo prędko pogodzić się z losem, drugi, widząc ckliwą, sentymentalną i nudną pannę, wpada w rozpacz, która się wzmaga z chwilą poznania „kopciuszka,“ najmłodszej i najrozsądniejszej córki pp. Pietrusińskich. Ratuje go z fatalnego położenia wieść o mobilizacyi. Należy do pospolitego ruszenia, a więc ma prawo do zwłoki w żeniaczce i czas do zakochania się naprawdę w najmłodszej, Karolinie (p. Zimajerówna). Wiecznie ostrzegający kuzyn Rzepecki znajduje nareszcie chwilę, w której naocznie przekonywa rodziców o niewierności młodego szlachcica. Zamiana ról między siostrami odbywa się bardzo szybko; starsza odrazu zrzeka się pretensyi pod wpływem jednej tylko pogłoski, fałszywie puszczonej, że ojciec Maryana wydziedziczy za ożenek.

Tyle w całej tej farsie nieprawdopodobieństw, że zabrakłoby nam miejsca na ich wyliczenie. Nie można wszakże pominąć zanadto rażących. Z kilkunastu postaci karykaturalnych wyróżnia się jedna, najmłodsza córka Pietrusińskich. Kręci się ona ciągle po scenie niby na uboczu, śledzi kroki starszych sióstr i czyni im rozsądne uwagi. Ona jedna tylko zdołała poznać całą lichotę moralną i umysłową młodego szlachcica, traktuje go pogardliwie. Tem większe nasze zdumienie, gdy się dowiadujemy, że ona kocha tego półgłówka, nieponia i chętnie mu rękę oddaje. Taką niespodziankę autorowie wywołali niedorzecznością psychologiczną, na której oparli także całą postać Maryana. Młody hulaka, wprawny w zawracanie głów pannom, który już cztery razy w życiu się oświadczał, nie wie, jak wybrnąć z wyznania (pod wpływem wina) miłości pannie, którą parę razy widzi w salonie. Mógłby tak postąpić, jak dawniej, ale wtedy pp. Abrahamowicz i Ruszkowski nie mieliby wątku do sztuki. Widzą oni sami wielką niedorzeczność w charakterze Maryana i chcąc ją naprawić, popełniają inną: dla złagodzenia gniewu przyjaciela każą młodemu szlachcicowi związać się z panną, do której wstręt czuje. Spółka, chcąc usprawiedliwić tytuł „sztuki,“ wprowadziła na scenę pajaców obrzydliwie podrygujących. Ma to być gimnastyka pospolitaków, odbywająca się... w mieszkaniu Pietrusińskich! Na co się zda w takiej ramocie wysiłek aktorów? Najwdzięczniejszą rolę miała p. Zimajerówna, młodziutka, początkująca artystka. Postać Karoliny zyskałaby wiele, gdyby jej przedstawicielka zdobyła się na większe urozmaicenie głosu, a mniej się posługiwała pieszczotliwym szczebiotem, prawie dziecięcym. P. Śliwiński z płytkiego hulaki Maryana zrobił... idyotę. Pp. Galasiewicz, Morozowicz, Sikorski, Wysocki i Borawski w swoich rolach wykazali sumienność i doświadczenie. Młody artysta, p. Kulesza, odegrał wcale dobrze ogłupionego wychowaniem jedynaka, wprowadzonego na scenę dla urozmaicenia komizmu; pp. Filebornowej, Mireckiej i Baumanowej radzilibyśmy mniej przesady.

*Zenon Pietkiewicz.*

## FEJLETON.

# LIBERUM VETO.

Tajemnica emigracyi brazylijskiej. — Kto i w jakim celu ponosi jej koszta. — Niedostateczność dotychczasowych przypuszczeń. — Dobrotliwa mina gazet niemieckich. — Koniec widowiska. — Zagadki duszy ludzkiej i nasze o jej objawach wyroki. — Narada w przedmiocie oświetlenia elektrycznego. — Według i wbrew tradycyi. — Dogasające iskry.

Ruch emigracyjny do Brazylii osłabł, a raczej został w znacznej mierze zatamowany, odsłoniwszy jednak tylko swoje przyczyny miejscowe bez wyjaśnienia zewnętrznych. Wiemy, że on odbywa się na gruncie ekonomicznym. Chociaż z pewnym przymusem i niechęcią przyznajemy już nawet w pismach publicznych, że działają tu „bieda i nędza połączona z ciemnotą.“ Ktoś w *Gazecie polskiej* dowodzi, że „przeciętny służący lub małorolny włościanin, rzucając się na oślep w wir emigracyjny, nic prawie nie traci i nic nie ryzykuje, gdyż gorzej pewno mu nie będzie, niż w domu... Większość (pracodawców) albo traktuje i uważa robotnika jak bydlę, które, gdy starga siły, to się je wyrzuca, albo też wcale o jego losie nie myśli, uważając to za rzecz zbyteczną. Trudno więc żądać od człowieka ciemnego, aby kochał swą ziemię, gdy ona głodem go morzy.“ Autor ilustruje tę nędzę rachunkiem: 22 do 25 rs. zasług, 10 korcy zboża w ziarnie, półmorgowy ogród pod kartofle i opał, wystarczający na $^3/_4$ roku — oto wynagrodzenie naszego robotnika, który ma go nakarmić i odziać wraz z rodziną. „Jak — pyta autor — i na co pierwej wydać te 24 rs.? Skąd mięśniom dać moc i energię, zjadając dziennie parę garncy kartofli z kapustą i zakalcowatym plackiem? Jak uniknąć pokusy kradzieży, próżniactwa? ...Gdy właściciele fabryk żwawym stosunkowo idą krokiem naprzód, aby podnieść byt materyalny i poziom umysłowy swego robotnika, my, rolnicy, uzbroiliśmy się w cierpliwość godną lepszej sprawy, głusi jesteśmy na głos, choćby rozsądku, co nam mówi, że i nasz wiejski robotnik więcej już wymaga, niż lichej dziennej zapłaty, zupełnej zależności od chlebodawcy, a w końcu perspektywy kija żebraczego na starość.“

Wszystko to jest najzupełniej słusznem i tłomaczy pochopność naszego ludu do emigracyi, zwłaszcza gdy agenci błyskają mu przed oczami zdradzieckiem światełkiem szczęścia. Ale najjaskrawsze odmalowanie tej niedoli nie zdradza nam interesu, na którym agitacya zagraniczna oparła swoją robotę. Obdzieranie prostaczków przez agentów bynajmniej nie rozwiązuje zagadki, gdyż naprzód z tego rabunku nie ciągną zysku patronowie emigracyi, a powtóre ponieśione w nim straty równoważą się z nadwyżką osiągniętemi korzyściami. Jeżeli kontrabandzista, który przeprowadza uciekających przez granicę, przewodnik, który ich obsługuje językiem, właściciel szopy lub gospody, który im daje nocleg, jeżeli te wszystkie pijawki ssą wychodźców, to przecież nie dzielą się swoimi łupami ani z głównym werbownikiem w Lizbonie, ani z towarzystwem przewozowem, ani z rządem brazylijskim. Stwierdzono zaś niewątpliwie, że emigranci ponoszą tylko koszta podróży do Bremy, że tam dostają pożywienie, że przyjmowani są na okręty bezpłatnie i że po wylądowaniu w Brazylii mogą z sobą robić, co im się podoba. Staje więc przed nami tajemnicze pytanie: kto i jaki ma interes w tem wywożeniu gromad ludzkich z Europy do Ameryki południowej? Pytanie to zaciekawiło mnie wielce, daremnie jednak starałem się zdobyć na nie zadawalającą odpowiedź i nikt też dotąd sfinksowej zagadki nie odgadł. Najrozmaitsze

przypuszczenia są tylko grą domysłów. Jedno z nich np. twierdzi, że pewna liczba okrętów, wracających z Europy do Ameryki bez ładunków, potrzebuje balastu i zamiast gruzu, który trzeba zwozić, zabiera ludzi, którzy sami przyjdą. Ale puste statki nie wracają do Brazylii, która przeciwnie ma duży przywóz, a mały wywóz. Inni twierdzą, że rząd brazylijski chce zaludnić swoje obszary i spotęgować siły podatkowe; ale—jak niedawno wykazywaliśmy w *Prawdzie* — Brazylia jest okropnie zadłużoną, więc zbywających pieniędzy na zakupywanie mas ludzkich nie posiada. Inni znowu utrzymują, że skutkiem zniesienia niewolnictwa zabrakło tam rąk roboczych, które plantatorowie, w porozumieniu z towarzystwami przewozowemi, sprowadzają sobie werbunkiem emigracyjnym; ale w takim razie dlaczegoż wychodźców niczem nie krępują ani co do wyboru miejsca, ani zajęć? Słowem, żaden z tych kluczów tajemnicy nie otwiera, a jednakże przewożenie tysiąców ludzi z Europy do Brazylii musi mieć swój cel i swoją rachubę, ogołoconą z pobudek idealnych. P. Dygasiński, wysłany przez *Kuryer Warszawski* dla zbadania ruchu emigracyjnego w całym przebiegu, kreśli ciekawe obrazki, zbiera i nadsyła objaśnienia szczegółowe, ale nie wydobył rdzenia rzeczy, nie wytłomaczył: kto i dla czego ściąga na swój koszt tłumy ludzi do Brazylii? Wiadomość, że oni odpływają z Bremy, że w Lizbonie siedzi ukryty jakiś tajemniczy Santos, który rozdaje karty okrętowe i rozsyła swym agentom poufne okólniki — oznajmia nas tylko z organizacyą przedsięwzięcia, ale nie z jego podstawą i sprężynami. Gazety niemieckie, które patrzą zblizka na ten werbunek, albo udają naiwność, albo go rzeczywiście nie rozumieją. Przedstawiają bowiem wychodźców polskich jako nieszczęśliwe ofiary, jako żebraków, którym miłosierny *Nordd. Lloyd* daje przytułek w Bremie i miejsce na swych okrętach. Kto zna filantropię towarzystw żeglugi morskiej, ten wie, że one darmo nie przewiozłyby wędrującego bociana, a cóż dopiero gromady ludzi — do Brazylii, z którą nawet nie utrzymują stałej komunikacyi. W tej więc litości „leży jakiś pies pogrzebany,“ ale jaki? Właśnie trzeba go odkopać i na wierzch wydobyć.

Źródło kilkudniowej „sensacyi,“ proces Skublińskiej, zakończył się —skazaniem jej wraz z siostrą na trzyletnie więzienie, głównego dostarczyciela fałszywych świadectw Polkowskiego na $2\frac{1}{4}$ lat rot aresztanckich, reszta oskarżonych poniosła mniejsze kary lub została uniewinnioną. Jak przewidziałem, nabywcy 25 rublowych biletów na to widowisko doznali rozczarowania; spodziewali się bowiem co najmniej kilkunastu lat robót ciężkich i Syberyi. Ale mniejsza o ten zawód. Ważniejsze od niego są — jak zaznaczyliśmy poprzednio — obrazy nędzy, upodlenia i niedoli, z których zdarto zasłonę w sądzie, a od których reporterya, malująca jaskrawemi barwami zbrodnię, odwróciła publiczną uwagę. Śmiało rzec można, że w sprawie tej daleko więcej ujawniło się grzechów społeczeństwa, niż winy zwyrodniałych i zepsutych jego członków. Kiedy jednego oskarżonego, który nosił koszyki z trupami dzieci do stolarza i trumny na cmentarz, zapytano, dlaczego dopuszczał się tych wykroczeń, odrzekł naiwnie: ja ze wsi, myślałem, że to takie *obchody miejskie*. Ten człowiek, rozwojem umysłowym i moralnym nieprzerastający zwierzęcia, ani domyślał się, że robi coś karygodnego. Zdawało mu się, że cała ta sromota leży w porządku rzeczy, w prawidłowych „obchodach miejskich.“ Ten Wiat i jemu podobni przerażają nas, nie tylko tem wszakże, że bez wstrętu sypiają pod łóżkiem na trupach i noszą po mieście nieżywe dzieci w koszykach, jak zarznięte gęsi, ale również i tem, że my o nich wyrokować musimy. Ile razy bowiem spojrzymy we wnętrze istoty, dokonywającej nałogowo i zawodowo zniszczeń, przestępstw, prawie zawsze dostrzegamy w niej taką bezwrażliwość moralną, takie potarganie i zwyrodnienie uczuć, że chcąc zrównoważyć odpowiedzialność psychiczną z odpowiedzialnością społeczną, nie wiemy, jaką zasadą ludziom tego rodzaju odmierzyć karę i ustrzedz się niesprawiedliwości. Nieraz zdaje nam się, że mamy przed sobą maszynę, która rozszarpała lub skaleczyła kogoś i którą my musimy ukarać. Psychologia w ostatnich czasach zrobiła wielkie postępy, w dziedzinie zaś zbrodni ukazała nam szereg wynaturzeń i fatalizmów, które działają z niepokonaną niczem koniecznością; ale ona jeszcze nie zdjęła z duchowej natury człowieka wszystkich osłon i nie wytłomaczyła nam całej powierzchowności wszystkich naszych orzeczeń moralnych o jego czynach. Z wiarą, że on *mógł* postąpić w danym wypadku tak, jak według naszego przekonania *powinien*, z uwagą utkwioną tylko w skutki nieznanych przyczyn, w zewnętrzne objawy jego duszy, sądzimy go, wyrokujemy, karzemy, często ani przypuszczając, że jest to sąd ślepy, wyrok bezzasadny, kara niesprawiedliwa. A jeszcze stosunkowo mniej tych omyłek popełniamy w trybunałach, ubezpieczających społeczeństwo od jednostek szkodliwych, niż w życiu codziennem, w orzeczeniach opinii, niezaglądającej prawie nigdy do duszy tych, których na podstawie oderwanego od niej czynu wywyższa lub poniża. Przysądzamy komuś sławę lub niesławę, przyznajemy mu cnotę lub podłość, a nazywamy samolubem lub dobroczyńcą dlatego jedynie, że usłyszeliśmy o jakimś jego postępku. Inaczej być nie może. Gdy ludziom do urządzenia stosunków życia zbraknie wiedzy, posługują się niewiadomością. Więc i we wzajemnych o sobie sądach nie są świadomymi krzywdzicielami, ale naiwnymi prostaczkami. Oni muszą mieć swoje reguły czynów, tak jak muszą mieć swoje przekonania o materyi i przestrzeni, których nie znają, ale nie mniej przeto, dopóki psychologia jest łańcuchem zagadek, wszystkie owe reguły stanowią tkaninę ciemnoty.

Gdyby inżenier Wasilewski był psychologiem, nie zwołałby na naradę tutejszych obywateli i nie namawiał ich do założenia spółki oświetlenia elektrycznego dla Warszawy z kapitałem 360,000 rs. Naprzód bowiem wiedziałby, że są pewne przedsięwzięcia, które nie mieszczą się w naszych głowach (tramwaje, telefony, bulwary nad Wisłą, hale targowe itp.) i wymagają zagranicznych. Powtóre — pamiętałby, że wszelkim spółkom większej miary klimat nasz nie sprzyja, gdyż zawiera on w powietrzu jakąś wilgoć, która je rozkleja. Potrzecie zrozumiałby, że świeże wspomnienia o Zwierzyńcu odstraszą uczestników nawet od widoku arkusza papieru mającego postać akcyi. To też jakkolwiek dla dopełnienia żądanej sumy potrzeba jeszcze tylko 240,000 rs. (120,000 zaofiarowało towarzystwo berlińskie), osiągnięto zaledwie w zapisach 34,000 rs., gdyż bogaci finansiści usunęli się od tego interesu, a hr. Krasiński „w najlepszym razie“ przyobiecał 15,000 rs. „W konkluzyi — powiada *Kur. warsz.* — obradujący do żadnego rezultatu nie przyszli“ — czyli postąpili tak, jak chce tradycya naszych wieców. „Ostatecznie wszyscy się rozeszli z przeświadczeniem poronionego zamiaru i nawet o wyznaczeniu terminu nowej sesyi mowy już nie było.“ To już nie według tradycyi, która żąda, ażeby obrady były bezowocne, ale zarazem, ażeby przeciągały się jak najdłużej. P. Wasilewski zapowiedział, że ów „poroniony zamiar“ podejmą i wypielęgnują kapitaliści francuscy. Jeżeli tylko podejmą, to z pewnością szybko zbiorą pieniądze, szybko naradzą się, szybko wykonają plan i szybko zbudzą w nas pretensyę — do najazdu obcych kapitałów na nasz kraj.

Tymczasem jeszcze szukamy pomieszczenia dla nieistniejącego Zwierzyńca, jeszcze probujemy go wskrzesić, ale to już są ostatnie, dogasające iskry jednodniowych pomysłów. Na miejscu buchającego niedawno płomieniem ogniska leży tylko popiół okryty ciemnością, w której słychać skargi reszty głodnych zwierząt, dotkniętych gorszym losem od zmarłych w porę. I echa dobrych chęci założenia Towarzystwa aklimatyzacyjnego milkną powoli. Pozostał tylko smutek ruiny i szkody.

*Poseł Prawdy.*

## NA WIDNOKRĘGU.

Przeciwdziałanie władz wychodźstwu brazylijskiemu.— Istotny stan rzeczy.— Kozieł ofiarny emigracyi. — Głos najmity w sprawie stopy zarobkowej.— Pożar kopalni.

Dzwon trwogi, rezkołysany przez wychodźstwo brazylijskie, jeszcze nie zamilkł — ani w warszawskiej, ani w prowincyonalnej prasie. Władze uzbroił on do walki z prądem niepożądanym. Groźne widmo wyludnienia z siły roboczej folwarków i fabryk, wysuwane w ciągu kilku miesięcy przez korespondentów i publicystów — zrobiło swoje. Teraz będziemy z kolei świadkami odruchu organów administracyjnych, które przedsięwzięły cały szereg środków zapobiegawczych. To też całe partye „opętańców“ rozbijają się o rogatki, są aresztowane przez policyę i na miejsce zamieszkania etapem odstawiane. Ale zapobiegliwość i energia straży pogranicznej nie są dostateczne dla *Gazety rolniczej* i *Dziennika warszawskiego*; oba te pisma doradzają, żeby dozór był również rozciągnięty na te miejsca, skąd wychodźcy wyruszają. Władze gminne powinny baczyć, kto ze wsi ma zamiar emigrować i zawczasu zawiadamiać o tem władzę powiatową, której obowiązkiem będzie drogą perswazyi lub zapomocą energiczniejszych środków powstrzymywać obałamuconych. *Gazeta rolnicza* pragnie dorzucić jeszcze obostrzenie przepisów względem czeladzi, „samowolnie opuszczającej służbę.“ Gdyby przy ogniu „gorączki emigracyjnej,“ rozdmuchiwanym przez podżegaczów, udało się upiec tę pieczeń „interesów folwarcznych,“ zyskałoby na prawdzie przysłowie narodowe o złem, które na dobre wyszło... Tymczasem sprężystość zapobiegawcza, wyraźnie zaczyna powściągać ruch wychodźczy. Temu zapewne przypisać należy fakt, że gdy przed kilku tygodniami (według telegramu z Berlina) przez Charlottenburg przejeżdżało emigrantów polskich po 500—1000 osób dziennie, wkrótce potem największe partye liczyły po 50—80 osób dziennie. Skłonniejszą jest do opamiętania się z „szału“ ludność miejska, niż wiejska, co prawdopodobnie wynika z względnie wyższego poziomu umysłowego pierwszej oraz z jej większej podatności na wpływ prasy, z większego zaufania do przestróg, pochodzących z ust inteligencyi.

Obraz jednak szwankowałby na pełności, gdybyśmy zamilczeli o koźle ofiarnym sprawy emigracyjnej. Oto np. co *Gazeta rolnicza*, ten szanowny organ naszego ziemiaństwa, powiada z okoliczności ucieczki 14 robotników z cukrowni i folwarku p. Rephana w Zbiersku. „Na biedę narzekać nie mogli, krzywdy nie mieli: administracya dóbr i fabryk p. Rephana pod względem rzetelności, a nawet hojności dla podwładnych, za wzór służyć może. Ale tych ludzi skusił przykład karbowego. Gdy kto do czego jest skłonny, uczyć go nie trzeba: pół słowa wystarczy. Dzisiejsze pokolenie, nie pomiędzy samem tylko prostactwem, ogarnął jakiś niepokój; żądza szukania fortuny za górami jest powszechna. Trochę (?) rzeczywistej biedy, trudnosć zarobku, w klasach zamożniejszych, trudność utrzymania odpowiedniego do coraz bardziej rosnących wymagań; z drugiej jednak strony (słuchajcie!) — *przewrotne doktryny materyalistyczne*, pod-

żegające egoizm a rozluźniające węzły rodzinne i społeczne, wytwarzając w klasie inteligentnej kosmopolityzm (!), nieznacznie oddziaływają także na masę ludową, która z natury rzeczy nie może być idealniejszego usposobienia od inteligencyi." Niech szanowny autor mi wybaczy, jeśli się przed nim zwierzę, że takie rozumowanie nasuwa mi na pamięć przysłowiowe skojarzenie gruszy, na której rośnie pietruszka, smakiem przypominająca cebulę... Po co sobie głowę daremnie zawracać frazesami żywcem wyjętymi z ust lichych kaznodziejów?

Z przyjemnością witamy głos najmity (a może tylko przyjaciela najmitów) z Sosnowca, który się odezwał na szpaltach *Gazety rzemieślniczej*. Idzie mu o podstawę przyjętą przez nowe prawo o ubezpieczeniu robotników w wypadkach kalectwa i śmierci. Ponieważ, jak wiadomo, wynagrodzenie odnośne ma być obliczane w stosunku do stopy zarobkowej, korespondent wyraża życzenie, żeby „doszedł do szerszej wiadomości, a przez to i do sfer rządzących obecnie egzystujący porządek" określania płacy w fabrykach. „Dzieje się mianowicie u nas tak — powiada: każdy z robotników ma naznaczony „lon" (płaca od czasu), czy pracuje na dniówkę, czy na „akord" (płaca od sztuki) — tym ostatnim naznaczają lon dowolnie i zupełnie nieodpowiadający ich zarobkowi. Bo zarabia się przeciętnie, dajmy na to 25 rs. na „fercentag" (dwutygodniowy okres czasu), a figurujący po listach płacy lon nie przewyższa 10 — w wyjątkowych razach 12 kop. na godzinę. Podobna niesprawiedliwość, jak dzisiaj, ma na celu ograniczenie wynagrodzenia, pobieranego przez robotnika z „krankkasy" w razie choroby, choć nasze ustawy tychże kas, w podobnych wypadkach zapewniają całkowity w czasie zdrowia otrzymany zarobek. Da się ta niewłaściwość dotkliwie uczuć, gdy nieszczęście przyjdzie na człowieka, gdy się pochoruje z miesiąc czasu i żyć i utrzymywać całą rodzinę trzeba z połowy, a nierzadko z trzeciej części swego zarobku, do którego się przedtem przyzwyczaiło i odpowiednio regulowało. Bywały wypadki, że w razie procesu o wynogrodzenie sąd brał tylko pod uwagę tenże fałszywie w listach płacy oznaczony lon." Otóż wobec tego, że wkrótce ma pozyskać siłę obowiązującą ustawa o ubezpieczeniu robotników, autor słusznie zaleca pp. inspektorom fabrycznym, czy też specyalnej komisyi, zbadanie stanu istotnej stopy zarobkowej, która ma być punktem wyjścia dla wynagrodzenia za nieszczęśliwe wypadki. Jego zdaniem sprawa unormowania lonu do zarobku na akord jest bardzo łatwą, „gdyż każdy z pracujących w większych fabrykach przechowuje wydane wraz z pieniędzmi kartki, w których jest wpisany jego zarobek." Wobec faktu, że ta strona stosunków fabrycznych najmniej jest u nas zbadaną, jak też ze względu na sprawiedliwość, która może ucierpieć przy stosowaniu ubezpieczenia od wypadków, jeśli rzeczywiste warunki nie będą zbadane dokładnie — my też swój głos łączymy z głosem najmity.

Kopalnię Towarzystwa von Kramsty „Ignacy Mortimer" pożerają płomienie. Osiem chodników, wychodzących na powierzchnię ziemi, jak kratery wulkanów buchają kłębami dymu i ognia. Kopalnia „Ignacy-Mortimer" była jedną z najbogatszych w powiecie będzińskim, pokład węgla w niej wynosi od 5—7 sążni grubości i należy do przedniego gatunku. Zachodnie pole tej kopalni, czyli t. zw. „Mortimer," którego zapasy węgla mogły starczyć przynajmniej na lat 20, skutkiem niedbalstwa i nieuctwa inżeniera Bongardta i jego pomocnika Jekla — zostało bardzo wcześnie zmarnowane. „Zaledwie jedna trzecia część węgla — powiada korespondent *Kuryera warsz.* — była wydobyta, dwie trzecie zaś całej ilości węgla przepadło na zawsze i obecnie już od roku prawie całe to pole jest w ogniu." Wynikło to z zastosowania do eksploatowania systemu rabunkowego (zwanego jeszcze „szlązkim"), mniej racyonalnego, niż francuski. Pierwszy z nich polega na zawalaniu miejsc wyeksploatowanych w sposób pierwotny. Przez tworzenie filarów jest znacznie tańszy, ale pociąga za sobą, prócz marnowania zapasów, niebezpieczeństwo robotników i skutkiem kruszenia pokładów na miał — powoduje pożary. Francuski system nie prowadzi za sobą takich następstw, bo polega na zasypywaniu czeluści piaskiem i gliną, ale kosztuje drożej i przeto jest wstrętnym dla kapitału uwięzionego w górnictwie, na który nie rozciąga się energiczny dozór. Wzmiankowani wyżej panowie uprawiali ten system wbrew zakazowi władzy górniczej — potajemnie. Potajemnie też, gdy skutkiem swych fizycznych właściwości (chciwe pochłanianie gazów itp.) miał węglowy zatlił się, pp. Bongardt z Jeklem, żeby uniemożliwić ogniowi wydostanie się na zewnątrz, zamurowywali przejścia, chodniki i galerye. Trwało to, oddawna niedostrzeżone. Złowrogi swąd, tułający się w różnych punktach kopalni, po raz pierwszy dał się czuć w lipcu r. b., ale nie zwrócił niczyjej uwagi. Nareszcie w dniu 23 października r. b. z szybu Ignacego, na tak zwanej „odkrywce," odległej o wiorstę od Mortimera, ukazał się dym i płomień. Użyto sikawek — nadaremnie; słup ognia buchał na wysokość piętra. W drugiej odkrywce tej samej nocy z 23 na 24 października ukazały się takież same płomienie, a po upływie doby na przestrzeni 100 sążni kwadratowych w rozmaitych punktach powstało 8 kraterów, ziejących ogniem, dymem i popiołem. Zbudowano 5 tam ochronnych, z których jedna, najnowsza, pod naporem gazów pękła, zadając 3 robotnikom śmierć natychmiastową, a 2 śmiertelne poparzenie. Dotychczasowe straty wynoszą 200,000 rs., a prawie 600 robotników-górników zostaje bez zajęcia, wywóz zaś węgla z Dąbrowy zmalał o 60 wagonów dziennie. Władze górnicze sprawców katastrofy pociągnęły do odpowiedzialności sądowej, ale kto określi rozmiar strat, jakie jeszcze wynikną w niedalekiej przyszłości, skoro zarzewie nie zostało zgaszone, tli i będzie powoli trawić łono pokładów?

*Z. Atanazy.*

# KRONIKA.

### Stare dzieje.

Biada ludziom talentu i nauki w społeczeństwach małych! Tak było zawsze, tak jest i tak będzie długo jeszcze. Dwudziestu sześciu profesorów uniwersytetu w Kopenhadze zaniosło do rządu prośbę o wyznaczenie stałej zapomogi państwowej Jerzemu Brandesowi, autorowi wielu znakomitych dzieł, a między innemi *Głównych prądów literatury XIX w.* I ktoby się spodziewał, że ten czytany przez wykształconych ludzi Europy pisarz nie może z zarobków pióra wyżywić rodziny! We Francyi lub w Niemczech miałby Brandes takie dochody, jak Taine lub Hettner, w Danii musi żebrać.

### Rozporządzenie szkolne.

*Nowości* donoszą, że komisya przy ministeryum oświaty, zajmująca się w dalszym ciągu kwestyą progamów, zaprowadzonych w bieżącym roku szkolnym, z uwagi na niektóre trudności praktyczne w wykładzie języków starożytnych, wypowiedziała następującą opinię: Na podstawie nowych programów w gimnazyach klasycznych zaprowadzone zostały dwa rodzaje tłumaczeń piśmiennych: 1) przekłady z języka wykładowego na starożytne i 2) z języków starożytnych na wykładowy. I pierwsze i drugie tłomaczenia, jak objaśnia instrukcya, mogą być tylko klasowe, przyczem główna pomiędzy niemi różnica polega na tem, że pierwsze mają znaczenie więcej dydaktyczne, służąc za rodzaj sprawdzania wiadomości gramatycznych, ostatnie zaś są same dla siebie środkiem i celem. Na podstawie tych samych planów i programów nie wyznaczono oddzielnego czasu na tłomaczenia pierwszego rodzaju, nauczyciele zaś upoważnieni zostali do korzystania w tym celu z godzin, przeznaczonych na wykład gramatyki. Co się tyczy ćwiczeń drugiego rodzaju, to potrzebny na nie czas winien być wzięty z liczby godzin, przeznaczonych na czytanie autorów. Komisya proponuje, w celu zapewnienia uczniom gruntownej znajomości gramatyki, powiększyć ilość ćwiczeń piśmiennych w klasach V-ej i VI-ej, gdzie, według programu, kurs gramatyki winien być ukończony, nie krępując się czytaniem autorów, ponieważ niedobory w obznajmieniu się z literaturą starożytną mogą być pokryte w dwóch starszych klasach. To też ministeryum oświaty zamierza zwrócić uwagę dyrektorów gimnazyów na tę okoliczność, że z chwilą skasowania ćwiczeń jesiennych (*extemporalia*) przy egzaminach dojrzałości, winien być uczyniony szczególny nacisk na egzaminy przejściowe z języków starożytnych w klasie VI-ej i że niezadawalające rezultaty tych egzaminów powinny mieć wpływ decydujący na promocyę.

### Bank włościański.

Według *Gazety polskiej* główny zarząd tej instytucyi położył nacisk na najszybsze uregulowanie serwitutów w guberniach Królestwa ze względu na interesy Banku włościańskiego. Obecnie tranzakcye, dokonywane z pomocą Banku włościańskiego przewidywane są w pewnej ograniczonej liczbie, a to z powodu, iż niewolno traktować o sprzedaży majątku przez Bank włościański przed uregulowaniem serwitutów; tam zaś, gdzie serwituty już zostały uregulowane, właściciele ich nie są skłonni do sprzedaży swoich posiadłości.

**Życie społeczne.** W Łodzi pewne kółko urządza koncert amatorski na rzecz wpisów dla uczniów niezamożnych.

— Według urzędowych danych liczba wychodźców z Europy do Brazylii w ciągu sierpnia r. b. doszła do 10,183.

— Ministeryum skarbu postanawia utworzyć specyalne posady inspektorów bezpieczeństwa dla fabryk parowych i zakładów przemysłowych. Obowiązkiem ich będzie pilnowanie, ażeby wszystkie czynne mechanizmy i motory były w stanie zupełnego bezpieczeństwa dla robotników i żeby były przedsięwzięte środki ostrożności w celu zapobiegania nieszczęśliwym wypadkom.

— Zarząd tanich kuchen w Warszawie stara się o otwarcie czwartej w okolicach Leszna, Żelaznej albo Grzybowskiej.

— Ministeryum zatwierdziło projekt kasy zaliczkowo-wkładowej dla osób, służących w warszawskim okręgu naukowym.

— W Krakowie — jak donoszą pismom warszawskim — wielkie wrażenie wywołało wejście żandarma do uniwersytetu, gdzie zażądał wydania mu akademika Woszczyńskiego, rzekomo zostającego pod zarzutem dezercyi z wojska. Żandarm wypełnił rozkaz tarnowskiej komendy wojskowej. Władze akademickie ostro wystąpiły przeciwko niebywałemu zuchwalstwu, tem bardziej, że poszukiwany otrzymał pozwolenie odbycia służby po ukończeniu kursów. Pomimo to odwieziono akademika pod eskortą do Tarnowa.

— Towarzystwo akcyjne cukrowni „Częstocice" założyło dla swych oficyalistów kasę oszczędności i wsparć, której uczestnikami mogą być wszyscy pracownicy, pobierający stałą pensyę, z wyjątkiem dyrektora cukrowni.

— W sprawie Skublińskiej zapadł następujący wyrok: Maryanna Skublińska i Agnieszka Zdanowska skazane zostały na pozbawienie praw szczególnych i na więzienie trzyletnie. Emilia Zdanowska, Zuzanna Kubkowa, Ludwik Wiata i Milęcki uniewinnieni. Paweł Polkowski skazany na pozbawienie wszystkich szczególnych praw i przywilejów i na roty aresztanckie na $2\frac{1}{2}$ lata. Zdzienicki, Kuczyński, Kozłowski, Eret, Szafirstein, Reidman i Przybyłowicz na 3 miesiące wię-

zienia; Zenowicz na 6 miesięcy, Moliński na naganę służbową. Skublińska i Zdanowskie, uwolnione z pod zarzutu zbrodni zabijania dzieci, skazane zostały na powyższą karę na zasadzie § 1566, przewidującego narażenie na niebezpieczeństwo życia oddanych w opiekę małoletnich.

**Szkoły.** P. Matylda Zawrocka otworzyła na Pradze zakład froeblowsko-gimnastyczny.

— *St. Pet. Wied.* piszą, iż niejaki S. ubezpieczył życie swoje na 100,000 rs., które mają być użyte na wsparcia dla studentów wyższych zakładów naukowych, pochodzenia włościańskiego.

— Przy zastosowaniu nowych programów wykładu języków starożytnych okazały się pewne trudności techniczne, które ministeryum oświaty zamierza usunąć na mocy porozumienia się z władzami gimnazyalnemi.

— W Tonga (Afryka wschodnia) otwarto pierwszą szkołę z językiem wykładowym niemieckim.

**Sprawy kolejowe.** Pierwszą kolej elektryczną, otwarto niedawno w Anglii z King William Street do Stockwel. Do odbycia podróży na tej linii, 3¼ mil angielskich długiej, potrzeba dwanaście minut.

— Dla urzędników i oficyalistów etatowych kolei Brzesko-Chełmskiej i Siedlecko-Małkińskiej utworzono kasę oszczędnościowo-zapomogową, na rzecz której od 1 sierpnia r. b. strącany jest odpowiedni procent. Kapitał w ten sposób zbierany stanowi własność każdego uczestnika.

— Wydano rozporządzenie, aby od osób konwojujących pociągami towarowymi zwłoki ludzkie, albo pilnujących przewożonych zwierząt pobierano opłatę w stosunku ¾ kop. od osoby i wiorsty. Dotąd pobierano opłatę w stosunku ceny biletu 3-ej klasy.

**Przemysł i handel.** Od roku przyszłego wolno będzie każdemu, kto tylko życzy, urządzać faktorye handlowo-przemysłowe na pograniczu Cesarstwa. Pozwolenia wydawać będą władze miejscowe.

— Do zatwierdzenia przedstawiono projekt ustawy wschodnio-ruskiego Towarzystwa handlowego, mającego na celu rozwój stosunków handlowych z Azyą mniejszą, Egiptem, Grecyą, tudzież wywóz do tych krajów wyrobów ruskich i przywoz oliwy, owoców, tytoniu itd.

— Bil Mac-Kinleya przyniósł znaczny uszczerbek ruskiemu handlowi wełną. Prócz wysokiego cła przepuszczanie przez komory amerykańskie wełny przywozowej utrudniane jest takiemi formalnościami, że dostawcy wysyłać jej wcale nie chcą, bojąc się konfiskaty w razie mimowolnego naruszenia jakiego-kolwiek punktu przepisów celnych.

— Ziemstwo gub. nowogrodzkiej ustanawia nowe posady techników drobnego przemysłu, na które będą powoływani ludzie z wyższem wykształceniem technicznem.

— Skutkiem wybuchu balonu benzyny spaliło się do szczętu fabryka wyrobów gumowych „Przewodnik" w Rydze, zatrudniająca 685 robotników.

— Nowe Towarzystwo akcyjne z kapitałem 1 mil. rs. zawiązuje się w Taszkiencie, celem eksploatacyi gruntów w stepach Głodowych i pow. dżezakskim kraju turkiestańskiego.

— Dla podniesienia hodowli owiec w gub. południowo-wschodnich urządzone będą jarmarki na wełnę w Tambowie i Penzie, dla południowych — komitety jarmarczne w Charkowie, Połtawie, Jekaterynosławiu, Odesie i Warszawie. Podniesiono również sprawę zakazu sprzedaży owiec włościańskich za nieopłacenie podatku; nadto przedsięwzięte będą środki, zmierzające do powiększenia wywozu żywych owiec za granicę.

— Ministeryum dóbr państwa postanowiło wprowadzić w Besarabii obowiązkowe ubezpieczenia wzajemne winnic od klęski filoksery.

— Handel mąką w środkowych guberniach Cesarstwa od dwóch lat przebywa stagnacyę. Większość firm znacznie zmniejszyła obroty.

**Wystawy.** W Londynie angielska marynarka wojenna urządza w r. p. wielką wystawę.

— W Berlinie otwarto 7-mą niemiecką wystawę gołębi pocztowych.

— W Lipsku odbyła się w tych dniach wielka międzynarodowa wystawa kwiatów.

**Wypadki.** W całej Anglii i na sąsiednich morzach szaleją orkany. Mnóstwo ludzi zginęło skutkiem rozbicia okrętów.

— Z powodu ostatniej powodzi w Chinach cztery miliony ludzi utraciło domy i wszelki dobytek.

**Komunikacye.** Między Wiedniem a Pragą powstaje trzecia linija telefoniczna.

— Rząd austryacki wprowadza stałą komunikacyę za pośrednictwem parowców między Fiume a Indyami.

— W Kroacyi otwarto nową kolej z Czakaturn do Zagrzebia.

**Zdrowie publiczne.** W tych dniach otwarto w Warszawie nowy zakład leczniczy gynekologiczny dla kobiet, założony przez kilku lekarzy specyalistów. Przy zakładzie urządzono ambulatoryum dla przychodzących.

— Rozszerzenie szpitala Ujazdowskiego kosztować będzie przeszło milion rubli. Łóżek ogółem będzie 2,000, liczba ordynatorów powiększy się o 12-tu.

**Konkursy.** Uniwersytet moskiewski ogłasza konkurs na napisanie podręcznika historyi Rosyi. Nagroda rs. 1,000. „Główna uwaga powinna być zwrócona na ludy narodowości ruskiej w kraju północno-zachodnim, na usiłowanie zabezpieczenia jej religii prawosławnej od wpływu polsko-katolickiego, tudzież języka i rdzennych zwyczajów. Wreszcie historyk obowiązany jest dowieść, że kraj północno-zachodni nigdy nie miał nic wspólnego z Polską i z jej katolickiem wyznaniem."

**Badania naukowe.** Na badania geologiczne, które mają posłużyć za podstawę do sporządzenia wielkiej mapy geologicznej Rosyi europejskiej, wydawana będzie od r. p. kwota rs. 3,000 rocznie.

**Bibliografia.** L. Kondratowicz, *Wybór poezyj*, tom II, Warszawa (wydanie nowe na rzecz wdowy i sierot autora).

**Zmarli.** Kazimierz Kratzer, w Warszawie; kompozytor muzyczny.

— Piotr Czychaczew, we Florencyi; znany podróżnik po Azyi środkowej.

— Karol Verlat, belgijski malarz historyczny, dyrektor szkoły sztuk pięknych w Antwerpii.

**Sprostowanie.** W artykule „Zdala" w N-rze 45 wkradły się następujące omyłki: wiersz 13 (str: 538) zamiast: „przez to niepomiernie *a* uciskających, winno być: a przez to, w. 17: zamiast do zaciągnięcia, — zasięgnięcia; w. 36: zamiast podały — padały; str. 539, szp. pierwsza w. 46: zamiast zasadność — zaradność samorządu; szp. druga, w. 40; zamiast „równie równowagę traci" — wprost równowagę traci; w. 90: zamiast „według zatwierdzonego... ustawy" — „zatwierdzonej... ustawy."

# OGŁOSZENIA.



Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 2 Ноября 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**